

DZIŚ

nr 43

ODDĄTOSY

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I Łódź, dn 21. XII. 58

W. środę
24 grudnia br.

nr 44

powiększony
świąteczno-
noworoczny



Na pierwszym planie: wielunia dziewczyna (II połowa XX w.). W tle: wieluni ratusz (II połowa XVI w.).

Wieluń - patrz str. 5 i 6

CZY MOŻNA BUDOWAĆ WIĘCEJ

Jeśli mówimy: Sytuacja mieszkaniowa w Łodzi uległa przez pierwsze 10 lat po wojnie wyraźnemu pogorszeniu — to złożyło się na to szereg czynników, które pokrótce wymieniałem w poprzednim artykule. Ale fakt pogorszenia oznacza też, że budowaliśmy za mało mieszkań, ZA MAŁO W STOSUNKU DO POTRZEB!

Trzeba to wyraźnie podkreślić: w stosunku do potrzeb. Bo jednak biorąc pod uwagę liczby bezwzględne, budowaliśmy sporo. I nawet w porównaniu do innych krajów, także tych więcej uprzemysłowionych (Czechosłowacja) — wskaźnik oddawanych mieszkań na 1000 ludności jest całkiem przyzwoity. Ilustruje to zresztą załączona tabela za lata 1950—55.

Prawdopodobnie takie samo zestawienie za okres poprzedniego pięciolecia 1945—1950 przedstawiałoby się dla Polski znacznie mniej korzystnie. Widać to konkretnie na przykładzie Łodzi, gdyż budownictwo mieszkaniowe na szerszą skalę zaczyna się dopiero w roku 1950. Podjął je wówczas Zakład Osiedli Robotniczych, który uruchomił od razu budowę większych jednostek: całych miast, osiedli i dzielnic. W całym kraju, może tylko z wyjątkiem Warszawy, gdzie tempo budownictwa mieszkaniowego było od początku

silne, dokonał się w roku 1950 gwałtowny skok ilościowy. Tak i w Łodzi, liczba 648 izb oddanych do użytku w 1949 r. wzrosła niemal 5-krotnie rok później.

Ze jednak to wszystko nie wystarczyło, świadczy wzrost współczynnika zagęszczenia na 1 izbę (przypominam: — 1,8 w r. 1946, 2,0 w roku 1956!). Świadczy też fakt, że w okresie 1951—55. dla 64.000 nowych mieszkańców Łodzi wybudowano za ledwie 18.000 izb, gdy trzeba było wybudować najmniej 42 tysiące.

Należy więc wyjaśnić, dlaczego budowaliśmy tak mało.

DOKOŃCZENIE
na str.

3



NAGRODY w naszym Konkursie

SPECJALNA MIESZKANIE 2 pokoje z kuchnią
ufundowana przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi

GŁÓWNE
3 ufundowane przez PKO w postaci wkładów oszczędnościowych na łączną sumę

5.000 zł

1 ufundowana przez Związek Spółdzielni Mieszkaniowych w Łodzi w postaci udziału w Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej na 2 izby w wys.

5.000 zł

DODATKOWE — o których nastąpi oddzielne zawiadomienie

KONKURSU CIĄG DAJSZY

DZIECKO, KTÓRE SPOTYKAMY

SZEROKA WSTĘGA Z NAPISEM: „WYSTAWA — DZIECKO, KTÓRE SPOTYKAMY” UMIESZCZONA NA FRONTONIE PALACU MOSTOWSKICH, WIDOCZNA JEST Z DALEKA. W PALACU MOSTOWSKICH MIEŚCI SIĘ STOLECZNA KOMENDA MILICJI OBYWATELSKIEJ, STĄD WIĘC WNIOSEK: WYSTAWA DOTYCZY DZIECI SPOTYKANYCH NA DRODZE PRZESTĘPCZOŚCI.

Idę ją obejrzyć nastroszony sceptycznie. Dlaczego? Mimo od dawna już rozlegających się rozpaczliwych wołań rodziców i publicystyki o społeczne zabezpieczenie przed szerzącą się deprawacją dzieci — nie dotąd nie potrafiły zaprezentować ani

w zakresie problematyki ani metod walki fachowe władze oświatowo — wychowawcze; czy uczyni to młocja...?

W pierwszym boksie wystawy przeżyłam pierwsze zaskoczenie.

Równocześnie z planszą obrazującą fotografiami ciężką dolę dzieci — nadmierną pracę, nędzę, zaniedbanie i opuszczenie, wzrok przyklaga estetyczna tabliczka szklana zwiastująca z

sufitu. Wypisano na niej słowa Franciszka Ferera: „Wyrwijmy dzieci nasze z krainy ciemnoty i brzydoty, którą sami przeżyli. Prowadźmy je ku światłu, ku pięknu”.

Scenariusz wystawy jest ekonstruowany zresztą. Przedstawia obrazy straszliwej krzywdy dziecka, bezpośrednie przyczyny i drogi deprawacji, różnorodne przejawy przestępstwa, skutki, działalność MO w walce z deprawacją, a jednocześnie i z krzywdą dziecka.

Przy wystawie czynna jest stale poradnia wychowawcza. Godne także pochwały jest urządzenie niewielkiego saloniku, w którym można odпочać i wysłuchać z taśmy magnetofonowej refera-

tu o przyczynach trudności wychowawczych. Wyzyskano również wystawę do propagowania wydawnictw o tematyce opiekuńczo-wychowawczej — stoisko rozprzedaże książki.

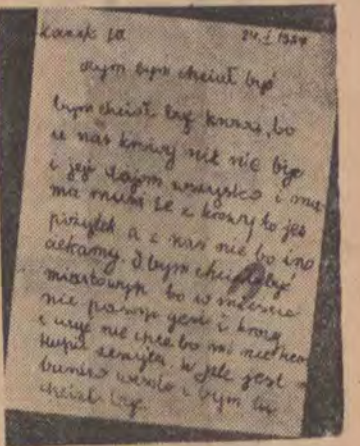
Wystawy tej nie powstałby żaden instytut naukowy. Dodam jeszcze — głośna wystawa w Warszawie w roku 1938, zorganizowana z okazji odbywającego się społeczno-naukowego Kongresu Dziecka, nie była lepsza w dziele „o dziecku moralnie zagrożonym”.

Spójrzcie na fotokopie wypowiedzi dwojga dzieci. Jakże bezmiar krzywdy wyciera z relacji dziecka, którego ojciec-pijak katuje matkę a dziecko obdziera ze smarowidła do chleba? Jedną z plansz na wystawie zawiera oryginalną fotografię nieudługo posiniaczonego dziecka, a obok fotografii leży istic gestapowski knut, którym ojciec to dziecko katował. Fakty „akie usasadniające przerażającą w swej wymowie wypowiedź: — „Chciałbym być krową, bo u nas krowy nikt nie bije i jej dajom wszystko”...

Jak ukształtuje się psychika takich dzieci i jakie formy przybierze ich bunt? Najczęściej i one stają się eadystami. Kopia planszy „Szkoła sadyzmu” nie jest rewelacją, szczególnie strącanie p'aków proca lub rzucanie kamieniami w pociągi i auta — to na ogół znane wypadki i nierzadko spotykane, lecz nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, że prowadzą one w konsekwencji i do zadawania śmierci rówieśnikom. Spójrzcie na to wstrząsające zdjęcie pomordowanych rękami nieletnich oraz zebrany „asortyment zabawek” skonfiskowanych nieletnim przez MO.

Wystawa stwierdza, że milicja rozumie mechanikę tych konsekwencji i milicja walczą z znęcaniem się nad dziećmi. Korzysta w tej akcji z art. 246 K.K. W roku 1957 jednostki MO skierowały do sądów lub do prokuratur na podstawie wymienionego przepisu 9.020 spraw. Wiadomo, że nawet ta liczba jest tylko częścią ogromu zadawanej krzywdy fizycznej i moralnej dziecku — wiele spraw w ogóle nie dociera do MO, a dla wielu, — choć równie dotkliwych, nie ma formalnego uzasadnienia interwencji.

Brak opieki i samowola dziecięca pcha je na ulicę, szosy, do stawów, glinianek i



ku różnym niebezpiecznym zabawom. Tu zaczynają się wszelkie kontakty przestępcze, tu są źródła deprawacji, a niezależnie od tego — stałe igranie ze śmiercią lub kalectwem. Zamieszczona fotografia planszy wystawowej jest obrazem, z którym najczęściej spotykamy się w codziennym życiu. Warto przy okazji zapoznać się ze smutną statystyką skutków owych swawolnych igraszek (dane z wystawy) w roku 1957:

Na szosach i ulicach kalekami zostało 1759 dzieci; życie straciło — 451; utonęło w stawach, gliniankach i gnojówkach — 535 (w tym do lat 7 — 196; do lat 14 — 195; do lat 18 — 144). Od wybuchów pocisków — 103; w płomieniach pożarów zginęło 71 (uratowano z pożarów 66 dzieci). Pozostawione samym sobie dzieci wywołały 2 685 pożarów — które wyrządziły szkód na sumę 6.959.440 zł.

Droga przestępstw zaczyna się również od pierwszych wagarów, pierwszych „cugów” papierosowych itp., potem po poznaniu siły pieniądza, droga ta staje się równią pochyłą ku kradzieżom, włamaniom, prostytucji, napadom rabunkowym, a czasem i morderstwom. Straty materialne wynikię wskutek różnorodnych przestępstw nieletnich wyniosły w ciągu 1957 roku — 89.149.694 zł.

Po raz pierwszy chyba po wojnie u nas, tu na tej wystawie, uczciwie odsłonięto bezmyślnie dotąd kryty bolesny wrzód — prostytucję nieletnich. W przypadku pewnej 14-letniej dziewczynki zebrano dokumentację o jej 55 „klientach”. Zamieszczamy charakterystyczne zdjęcie werbowania dziewczyny do prostytucji.

Niesposób opisać całej wystawy, tak bogatej w pro-

(Dokończenie na str. 5)



Mowa dziś będzie o trzech sprawach, oczywiście z wnióskami, moralnie i wszystkim do potrzeb.

Po pierwsze rozpoczęły się w Polsce pomiary antropologiczne czaszek i sylwetek naszych bliźnich. Jak donoszą z Rzeszowszczyzny, kilka wsi zbiegło w lasy, w jednej z nich baba wszadziła swego chłopca do skrzyni i stanęła nad nim z siekierą na straży, gotowa rąbać. W innej wsi przyjeżdżo ekipę kłonicami, śpiewami religijnymi i próbowano przeświecić święconą wodą.

W jednej z górskich fabryk urządzono pogadankę uswiadamiającą o sensie tych pomiarów. Kobiety zaczęły rejterować z sań. Wtedy ktoś przytomnie prowadzący zebranie zawołał: „Właśnie chciałem prosić, żeby wyszły wszystkie kobiety w ciąży i utomne. Tych nie będziemy mierzyć!” Oczywiście wszystkie zawróciły.

Nie da się tego skwitować sformułowaniami „ciemnoty”, „średniowiecze”. Skąd nieufność do poczynań naukowych, strach przed tak niewinnym zabiegiem jak pomiary człowieka wzdłuż i wszerz? Wynika ona z wiekowieckiej tradycji, z przekonania, że ludzie „obcy” najężdżający gromadnie wień nieczego dobrego sobą nie wróżą. Miał wglębiać się w ich naukowe (kiedy indziej polityczne czy ekonomiczne) racje, lepiej wiać tak jak wiało się za batiuszki cara, za Sławoja, za Hitlera i później.

★

Pan Zenon Karat cieszy się w „Głosie Olsztyńskim”, że miejscowa drużyna harcerska pomaga milicji w patrolowaniu ulic, kontrolowaniu kierowców i pojazdów itp. W końcowym zdaniu swego pełnego uciechy felietonu wyraża on radość, że „w niedługim czasie zielone czapki z lilijkami staną się „postrachem ulic”.

Już kiedyś, z okazji u-

działu harcerzy w „nauce chodzenia” po ulicach wielkich miast pisało się u nas, że wielce niepedagogicznym jest zabiegiem, gdy mały gwizdzą gwizdkami na starszych panów i tarmoszą starsze panie za mankiety. Wydaje się jednak, że ta praktyka ma głębszy sens negatywny.

Jedną z większych, acz w hierarchii etycznej nienajwyżej stojących radości współczesnego człowieka jest możliwość sprawowania jakiejś władzy nad bliźnimi. Wielce chętny udział malców w milicyjnej służbie wywodzi się z tej właśnie predyspozycji. Socjalizm zakłada ograniczanie władzy człowieka nad ludźmi, na rzecz władzy ludzi nad rzeczami. Psychiczne do tego przysposobienie powinno być przede wszystkim z istotnych elementów socjalistycznego wychowania. Nie można włączać elementów sprawowania władzy nad ludźmi do „harcerskiej wielkiej zabawy”, nie można przedstawiać patrolowania i gwizdania na ludzi jako czynów społecznie użytecznych (mimo że tkwi w nich społeczny użytek), nie można, jednym słowem, kształtować i pobudzać bakcyli satysfakcji władania nad innymi, bowiem jest to jaskrawo sprzeczne z tym wszystkim, czego chcielibyśmy oczekiwać od człowieka niedalekiej przyszłości i od pedagogiki dnia dzisiejszego. Niech harcerze kierują raczej kajakami, modelami samolotów i tokarek i niech mają świadomość, że milicyjne m. in. powinności i działania to nieprzyjemna konieczność, a nie frajda, to nie zabawa, możliwość wyżycia się i zajęcia niecodziennej, bo w jakimś sensie władczej, pozycji nad przechodniami.

Chodzi przecież m. in. o to, by za ileś tam lat synowie dzisiejszych chłopców z Rzeszowszczyzny nie uciekali przed wiatrymi już harcerzami z 58 roku, którzy przyjadą dokonywać pomiarów antropologicznych lub w jakiegokolwiek innej sprawie.

„Poszedłem do poradni antyalkoholowej i wyluszczyłem lekarzowi swoją sprawę: — Jestem zdrow. Mam tylko jedną dokuczliwą przypadłość — nie mogę pić. Po wypiciu już dwóch, trzech kieliszków wódki czuję się dzień, dwa jak po ciężkim zatruciu. Przeprowadzalem różne badania myśląc, że może przyczyną jest tu jakieś schorzenie. Nie podobnego. Cała sprawa toczy się na płaszczyźnie: wódka i ja. Pan jest specjalistą od kwestii alkohol — organizm. Proszę mi pomóc.

Lekarza jakby szlag trafił. Spurpurowiał i krzyknął. Krzyczał zaś długo w tym mniej więcej sensie:

— To my tu wypruwamy z siebie żyły, żeby ludzie, którzy do nas przychodzą mogli nie pić, musieli nie pić, chcieli nie pić; my staramy się ich przywieść do stanu takiego właśnie, w jakim pan się znajduje, a pan tu chce, żeby go przysposobić do alkoholizmu?! Kłny pan urzędnika!

— Pan leczy ludzi chorych na alkoholizm — replikowałem — ludzi, których zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne wymaga, by skazali się na abstinencję. Ja nie jestem alkoholiczkiem. Mogę w ogóle nie pić. Ale nie chcę skazywać się na niemożność picia. Każdy normalny człowiek może pić, ja nie mogę. Nie godzę się na takie uposiedzenie. Chcę, żeby fakt, iż np. nadmiernie nie pić, był kwestią mojej woli i świadomego wyboru, a nie konieczności. Chcę mieć możliwość, by z niej korzystać na tyle, na ile chcę i uważam za stosowne. Nie chcę też pozbawiać się przyjemności wynikłej z kieliszka. Ale ponad wszystko nie chcę pozbawiać się prawa i możliwości wolnego wyboru, postępowania zgodnego z moją wolą. Idąc po linii pańskiego rozumowania doprowadzonego do skrajności — nie należałoby leczyć człowieka niewydołanego piciem, bo może potem wykorzysta swą „wydolność” do deprawowania nieletnich. Nie należy też ratować złamanej ręki, bo ręką może kraść, ani zagrożonego ślepotą wzroku, bo oczy mogą czytać niedozwolone druki...

— Ta ręka może konstruować maszyny — odparł mi lekarz — a oczy mogą czytać poezję. Z picia wódki zaś nigdy żaden społecznie pozytywny efekt nie wynika.

— Ależ wynika — odparłem. — Primo, będę miał nieco przyjemności. Secundo będę miał świadomość, iż mogę pić a mogę też nie pić, wolna wola, możliwość wyboru. To jakiś istotny element mojego człowieczeństwa. Pożucie człowieczeństwa jed-

nostki daje zaś w sumie pozytywny efekt społeczny.

W tym miejscu lekarz ostatecznie uznał, że z niego kłpe i wyrzucił mnie za drzwi.

Mniemał, że ma do tego prawo, jak i do odmówienia mi pomocy w myśl prostego rozumowania: społecznie użyteczne jest, by ludzie nie pili, a więc nie lecząc mnie z efektywnego niepicia, działa na rzecz społeczeństwa. Tak jak wychowawcy harcerzy uznali, że społecznie użyteczne jest, by ludzie dobrze przechodzili ulicę, a zarazem harcerze mieli społecznie użyteczne zajęcia, sąd sensowność ich udziału w kierowaniu ruchem. I tak jak szefowie antropologów uznali, że społecznie użyteczne jest pozyczenie odpowiednich naukowych pomiarów, uciekających prezentują więc postawę a-społeczności zaoferania i ciemnoty, dalekiej więc z nimi w lasy. (Chociaż tu już sprawa się gmatwa i problem jest nieco inny).

Belfrowi zaś o to chodzi, aby wśród wielu użyłtarnie i bezpośrednio użytecznych społecznie rzeczy przede wszystkim dostrzeżać pożytek społecznie najważniejszy: by człowiek był człowieczy wedle tego modelu człowieka. (wolnego jako takiego i pozostającego w wolnych stosunkach między „kib” — jaki po wielu wiekach intensywnych rozmyślań udało nam się z grubszą naszkicować. Lub przynajmniej wydać się nam, że naszkicowaliśmy.

BELFER

Pytanie konkursowe Nr 1

Jeśli uważasz swoje warunki mieszkaniowe za niedostateczne — jakim sposobem zamierzasz je poprawić?

A	złożyłem (mam złożony) podanie do władz kwaterekowych o przydział mieszkania	C	wstąpiłem (wstąpię) do spółdzielni mieszkaniowej
B	czynnie starania poprzez zakład projektu budowy mieszkań we własnym zakresie	D	oszczędzam na książeczkę PKO

KUPON 1

Nr _____

A **B** **C** **D**

Wytnij-Zakreśl na kuponie właściwą odpowiedź-Zachowaj Zbieraj następne kupony — Odpowiedz na następne pytania!

Z wysłaniem odpowiedzi poczekaj na hasło, które da w odpowiednim czasie redakcja. Kompletuj kupony i odpowiedzi, bo jest to warunek Twojego udziału w losowaniu cennych nagród.

PRZYPOMINAMY, że

Na ogólne żądanie P. T. Czytelników, którzy pragną brać udział w KONKURSIE, a nie zdążyli zaopatrzyć się w poprzedni numer „ODGŁOSÓW” na str. 2 powtarzamy pytanie i KUPON Nr 1

1 Co tydzień, łącznie z publikacjami na tematy mieszkaniowe zamieszczane będą w naszym tygodniku pytania konkursowe o podobnej problematyce. Na pytania te należy odpowiedzieć, wypełniając zamieszczony obok kupon.

2 Wypełnione kupony konkursowe należy przesłać na adres Redakcji dopiero po zakończeniu akcji „Wszystko o mieszkaniach”. TYLKO KOMPLET KOLEJNYCH kuponów konkursowych uprawnia do udziału w losowaniu nagród.

3 Ostatni kupon konkursowy zawierać będzie pytania, dotyczące publikacji prasowych, drukowanych PRZEZ CAŁY CZAS trwania akcji. Należy więc gromadzić „Odgłosy” z materiałami na tematy mieszkaniowe, by łatwiej znaleźć potem odpowiedź na postawione pytania.

4 Pomiędzy Czytelników, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania, nadeślą w terminie komplet kuponów oraz spełnią wszystkie warunki konkursu — zosiana rozlosowane

CENNE NAGRODY i NAGRODA SPECJALNA MIESZKANIE

5 Regulamin losowania nagród, dalszy ich wykaz opublikujemy w następnych numerach „Odgłosów”.



DALSZY CIĄG ARTYKUŁU ze str. 1

PRZYCZYNA NAJWAŻNIEJSZA: DOTACJE NA BUDOWNICTWO MIESZKANIOWE ZAJMOWAŁY SKROMNE MIEJSCE W ROZDZIALE NASZEGO DOCHODU NARODOWEGO.

I nie ma rady — to ograniczenie było koniecznością ekonomiczną.

Budownictwo mieszkaniowe zwykle się od dawna podciąga pod miano inwestycji. Ale inwestycje też są różne — produkcyjne i nieprodukcyjne. Te ostatnie zaspokajają wprowadzone określone i często bardzo naglące potrzeby społeczne, ale z reguły zamrażają włożone w nie nakłady. Inaczej niż inwestycje produkcyjne, które gotowym wyrobem szybko te nakłady rekompensują.

W pierwszych, a właściwie nie tylko w pierwszych latach po wojnie główny wysiłek koncentrował się wokół inwestycji produkcyjnych, do których budownictwo mieszkaniowe nie należało.

Być może, popełniono tu i ówdzie jakieś błędy. Ostatecznie zapewnienie ludziom pewnego minimum bytowego, a więc i znanych warunków mieszkaniowych — też w jakiś sposób warunkuje wzrost wydajności pracy...

Ale ogólny kierunek był na pewno słuszny. Bo tylko inwestowanie w budowę hut i cementowni mogło zapewnić dostateczne zaplecze dla rozwoju budownictwa mieszkaniowego. I jeśli teraz z roku na rok tak znacznie rośnie ilość izb w nowym budownictwie — mamy to do zawdzięczenia podjętym poprzednio inwestycjom produkcyjnym.

Ograniczony udział nakładów na mieszkania w budżecie państwa — to nieścisły, kwestia poza dyskusją. Czy jednak potrafiliśmy owe ciężko wydarte produkty miliardy należycie wykorzystać?

PO PIERWSZE — BUDOWALIŚMY NIEEKONOMICZNIE.

Naturalnie, nie mam tu na myśli kwestii wyposażenia mieszkań w podstawowe urządzenia cywilizacyjne. To chyba bardzo dobrze, że praktycznie wszystkie budowane po wojnie domy otrzymywały elektryczność, kanalizację, gaz, łazienki, a ogromny procent — centralne ogrzewanie, pralnie, zsypy do śmieci etc.

Rzecz w tym, że budownictwem w zbyt dużym stopniu rządzą kryteria ładnych (?) fasad, a nie tendencja do zwiększenia oddanej do użytku powierzchni mieszkalnej. Czy trzeba cytować wiele przykładów? Wystarczy wspomnieć, że koszt MDM-owskich fasad wynosił nieraz 25 proc. kosztów całego budynku, łącznie z instalacjami i wyposażeniem wewnątrz. Nikt też nie kwestionuje celowości odbudowy warszawskiej i gdańskiej Starówki, ale czy trzeba było powielać tę nietypową, zatem znacznie droższą architekturę — w każdej odrobnie bardziej leciwej miejscowości?

PO DRUGIE — BUDOWALIŚMY TRADYCYJNIE.

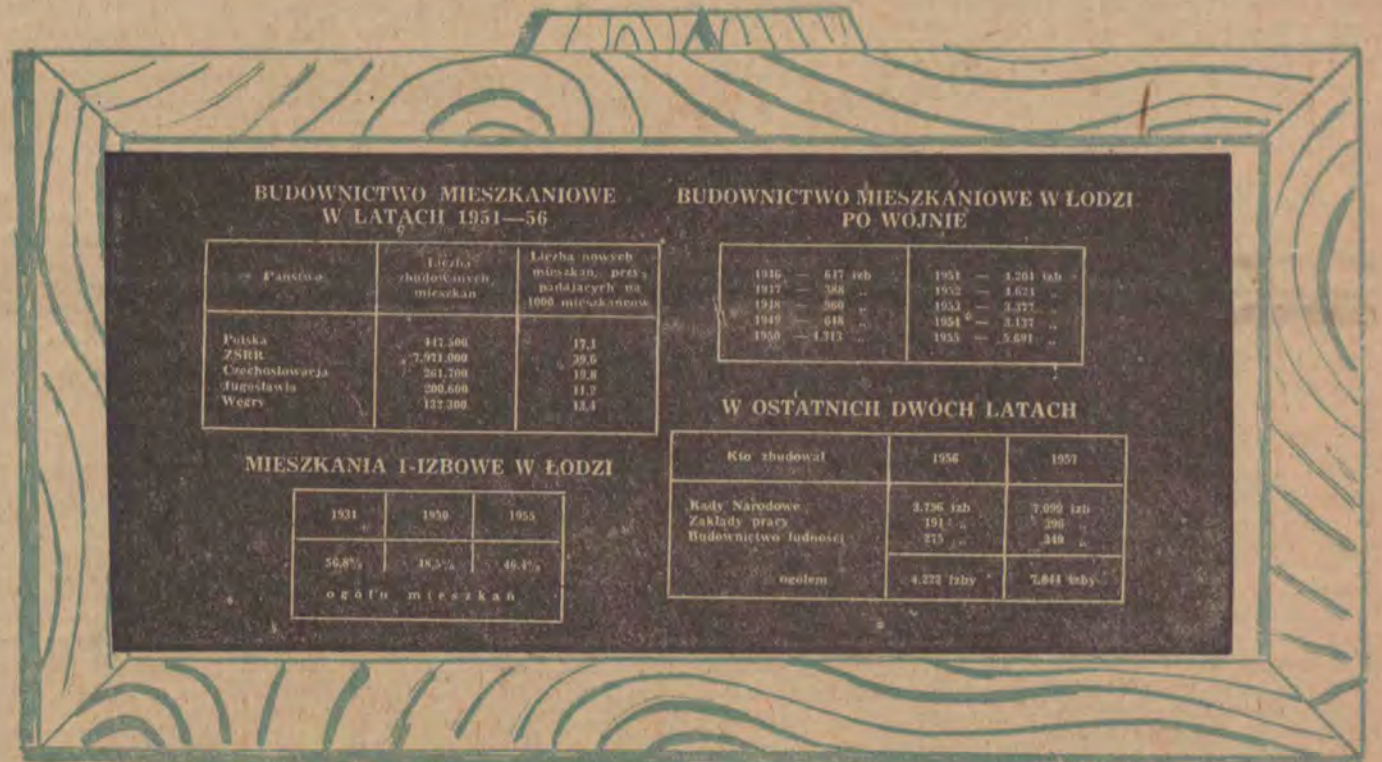
To znaczy — przestarzonymi metodami, nie wychodząc poza tradycyjne materiały, nie stosując prefabrykatów.

PO TRZECIE — BUDOWALIŚMY ROZRZUTNIE.

Nie w każdym osiedlu potrzebne były luksusowe wnętrza sklepowe o kilkuset metrach kwadratowych powierzchni. Nie wszędzie należało wznosić kosztowne domy kultury, które teraz stoją nieczynne. I nie wszędzie trzeba było budować okazyne bloki 6-piętrowe, gdy ciśnienie wody w rurociągach nie doprowadzało jej nawet do 4 piętra.

I RAZ JESZCZE — BUDOWALIŚMY ROZRZUTNIE.

Mam na myśli szereg obiektów niemieszkalnych, które można było zbudować znacznie mniejszym nakła-



dem środków. 70 milionów złotych kosztowały dwa budynki administracyjne w Nowej Hucie, 11 milionów złotych wydano na ozdobienie wątpliwej urody kolumnad gmachu Ministerstwa Rolnictwa. Kosztowały nas niemało złotych, co gorzej — niemało materiałów — różne biura i urzędy, gdzie skromny referent musiał dostać osobny gabinet... Budownictwo biur i urzędów nie przybrało w Łodzi rozmiarów zbyt jaskrawo rozdętych, jak to się działo w innych miastach. Ale ta kwestia pośrednio rzutowała na nasze miasto w postaci uszczuplonych kredytów.

Ekspansja biur ugodziła w Łódź w innej formie: „drożdżowe” urzędy zajmowały po wojnie wiele budynków mieszkalnych. Dużo tego było, bo gdy w latach 1956 i 1957 władze miejskie wzięły ten problem pod szkiełko — okazało się, że bez bólu można wygospodarować i przeznaczyć na mieszkania blisko 2.500 izb! A jest jeszcze do odzyskania, lekko licząc — dalszych kilkaset...

Nie ulega wątpliwości, można było — i można będzie w przyszłości — bardziej racjonalnie gospodarować środkami, które w ograniczonej ilości przeznaczamy na budownictwo. To jednak nie załatwia wszystkiego, bo ostatecznie istnieje jakaś granica gospodarności i oszczędzania, której nie da się przekroczyć.

JESLI WIĘC CHCEMY BY POPRAWA WARUNKÓW MIESZKANIOWYCH ŁODZI NASTĄPIŁA SZYBCIEJ NIŻ NA TO POZWALAJĄ WSKAŹNIKI KREDYTÓW — MUSIMY SZUKAĆ REZERW GDZIE INDEJ.

Chcę tu tylko najogólniej wskazać dwie możliwości — ich dokładne omówienie nastąpi w dalszych publikacjach cyklu „Wszystko o mieszkaniach”.

DOSTARCZY NAM REZERW WŁAŚCIWA POLITYKA CZYNISZÓW, KTORA JESZCZE NIE TERAZ, ALE W PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE MUSIAŁA BYĆ UREGULOWANA.

Czy sprawiedliwe jest, by państwo musiało dopłacać ogromne, miliardowe kwoty na utrzymanie — powtarzam tylko utrzyma-

nie — istniejącego zasobu mieszkań? Czy jest słuszne, by jednakowo obciążano samotne małżeństwo w lokalu 3-izbowym — i wieloosobową rodzinę w mieszkaniu 1-izbowym?

Lokator miał u nas zapewnione tylko prawa, nie ponosił przy tym prawie żadnych obowiązków. I na pewno celowe jest, by za utrzymanie lokalu odpowiadał jego właściwy gospodarz, proporcjonalnie do wygód i korzyści, jakie mu własne mieszkanie zapewnia.

Gdy usuniemy z budżetu państwa owe nadmierne obciążenia, będzie mogło ono tym bardziej skupić środki w kierunku powiększenia zasobu mieszkań.

PRZEDE WSZYSTKIM JEDNAK DOSTARCZY NAM REZERW WZMOŻENIE INICJATYWY SPOŁECZNEJ W ZAKRESIE BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO.

Czy było dotąd sprawiedliwe, by miał równo prawa w otrzymaniu nowego mieszkania — skromnie zarabiający tkacz i dobrze uposażony dyrektor instytucji? Czy słuszna była zasada cał-

kowicie darmowego przydziału mieszkań? Na pewno nie.

Istnieje, większa niż się powszechnie wydaje, grupa społeczna, którą stać na poniesienie nieraz okazałego wkładu materialnego w zamian za poprawienie jej warunków mieszkaniowych.

Co więcej — istnieje znaczna liczba zakładów pracy, które mogą i powinny uruchomić znaczne środki na mieszkania dla swej załogi. Mowa o zakładach pracy dochodowych, które wygospodarowały dla własnego użytku fundusze — i mogą je przeznaczyć na budownictwo.

Te same zakłady mają z pewnością możliwość tańszego budowania, jeśli udostępnią własnej budowie ludzi, sprzęt, materiały...

Ale tu wchodzimy już w zbyt szczegółowe rozważania. A o szczegółach — mowa będzie później, w dalszych publikacjach naszego cyklu.

JANUSZ WEYCHERT

Ogłaszając artykuł Oskara Lindaya pt. „Doktryna zagłady” redakcja kierowała się przekonaniem, że większość Czytelników posiada choćby ogólne rozeznanie w problematyce skupiającej się wokół nowoczesnych zagadnień militarnych.

Przekonanie to było błędne. W powodzi listów i telefonów dominowało jedno dramatyczne pytanie: „Czy rzeczywiście grozi nam katastrofa?” Znaleźliśmy się w sytuacji kłopotliwej, której nie mogła zadośćuczynić opublikowana w ostatnim numerze „ODGŁOSÓW” odpowiedź M. Emera pt. „Perspektywa zagłady czy pokoju?” Nie mogła zadośćuczynić dlatego, ponieważ przyjmując tezę „technicznego poziomu zagłady” we współczesnej technice wojennej, postawiła sprawę istnienia lub zagłady cywilizacji w sferze dobrej woli i „skalkulowanego ryzyka” ludzi, wśród których nie brak szaleńców i potencjalnych zbrodniarzy. Przekonanie o niemożliwości wybuchu wojny atomowej nie powinno być, zdaniem redakcji, uzasadniane „racjami logicznymi” i wiarą w „dobrego człowieka”. Tym bardziej

w świecie współczesnym, w świecie współzawodnicstwa dwóch ideowo odrębnych systemów.

Wokół problemu atomowego narosły grube folie ksiąg. Jest faktem, że problem ten wywarł ogromne piętno na wielu dziedzinach życia ludzkiego — przede wszystkim w dziedzinie militarnej. Ale jest faktem również, że wpływ ten nie jest tak zasadniczy, tak rewolucyjny, jak sugerowały to bezpośrednio tezy artykułu O. Lindaya i pośrednio M. Emera. W opinii najwybitniejszych fachowców współczesnej strategii i techniki wojennej bomba atomowa jest ciągle bronią pomocniczą a nie rozstrzygającą. Jeśli zaś nie jest bronią rozstrzygającą, jeśli samo jej zastosowanie nie może przynieść zwycięstwa, to ryzyko użycia tej broni i odpowiedzialność za taki akt są niewspółmiernie większe.

Podejmując cykl „Opinii” redakcja pragnie wprowadzić Czytelników w problematykę strategii i techniki wojennej wieku atomowego.

„B-29”. W wyniku nalotów strategicznych uległo zniszczeniu 40 proc. zabudowanej powierzchni 66 dużych miast japońskich, spłonęło i runęło ponad dwa i pół miliona domów, 9.200.000 ludzi pozbawionych zostało dachu nad głową, ofiary w zabitych i rannych sięgały miliona.

Dla dokonania tych zniszczeń Amerykanie wydali na samą tylko produkcję superfortec („B-29”) 4 miliardy dolarów — nie licząc kosztów eksploatacyjnych i materiałowych, które ocenia się na dwukrotnie wyższe. W sumie bombardowania strategiczne Japonii kosztowały Amerykę ponad 20 proc. jej rocznego budżetu wojennego.

Celem bombardowań strategicznych było podważenie morale ludności oraz zniszczenie przemysłu i zapasów wojennych nieprzyjaciela. Sztabowcy sądzili, że na obszarze 10-krotnie gęściej od USA zaludnionej Japonii cel ten da się łatwo osiągnąć. Tymczasem...

Oto rezultaty:

Jak wykazały późniejsze badania, w dniu poprzedzającym kapitulację ponad 30 proc. ludności wierzyło w zwycięstwo. Z pozostałych, połowa podawała jako powód utraty wiary klęski militarne, naloty oraz spadek racji żywnościowej (latem 1945 r. dzienna norma żywienia ludności japońskiej posiadała dwukrotnie niższą kaloryczność niż w USA). Trzeba dodać, że badania przeprowadzane były głównie w miastach bombardowanych! Z tych, którzy utracili wiarę w zwycięstwo, przytłaczającą większość była za kontynuowaniem wojny i ogłoszenie kapitulacji było dla nich przykrym zaskoczeniem.

Tyle o postawie ludności

poddanej „strategicznym bombardowaniom”. Jeszcze bardziej zaskakujące są liczby mówiące o potencjale wojennym Japonii.

Tylko trzy proc. wojennych składów japońskich uległo zniszczeniu. 97 proc. zapasów sprzętu i amunicji dostało się w ręce amerykańskie po kapitulacji.

Przez cały czas bombardowań produkcja przemysłu wojennego nie wykazywała poważniejszych wahań. Zahamowanie jej wzrostu, a nawet nieznaczny spadek nastąpił dopiero po utracie Filipin, poważny spadek — po utracie Okinawy. W obu wypadkach zdecydowało uderzenie w surowce i komunikację, a nie w same fabryki. Fabryki bowiem przenoszono pod ziemię lub zabezpieczano szczególnie wzmocnioną obroną przeciwlotniczą, chroniąc je w ten sposób przed bombardowaniami.

Na marginesie tych zestawień warto przytoczyć dość często powtarzany argument zachodnioeuropejskich teoretyków wojennych: „Gdyby Amerykanie nie wybudowali bombowca „B-29” i nie rozwiązali w ten sposób problemu odległości do macierzystych wysp japońskich, kapitulacja Japonii nastąpiłaby prawdopodobnie pół roku szybciej. Wówczas bowiem Amerykanie obraliby jako cel ataku japońską marynarkę handlową, której całkowite zniszczenie przy posiadanej przez nich ogromnej przewadze na morzu i w powietrzu, było osiągalne”.

Jeżeli więc jedynym sukcesem bombardowań strategicznych było zabicie i okaleczenie miliona ludzi, to zaiste dziwny to sukces...

Opracował F. G.

1) The United States Strategic Bombing Survey (Pacific War).

ROLA BOMBARDOWAŃ STRATEGICZNYCH w zwycięstwie nad Japonią

BOMBOWIEC „B-29” OPÓZNIŁ ZWYCIĘSTWO NA PACYFIKU

Ewolucja myśli strategicznej w II wojnie światowej, wojnie techniki i specjalistów, szła od strategii wyczerpania do strategii zniszczenia. Te ostatnia, z właściwym sobie gigantyzmem narzuciła aliantom Stany Zjednoczone. Strategia zniszczenia, realizowana zmasowanymi atakami ciężkich bombowców na miasta i przemysł wroga, stała się wzorem dla kulturowanej w niektórych kołach wojskowych USA „doktryny wojny lotniczej”, w której miejsce klasycznych bomb mają zająć bomby atomowe. Strategiczny sens i ostateczny cel tej doktryny pokrywają się ze strategią masowych bombardowań w II wojnie światowej. Dlatego też ocena jej militarnych rezultatów w czasie minionej wojny będzie równocześnie oceną jej ew. skuteczności na wypadek nowego konfliktu.

Niezwykle pouczające dane ujawnia w tym względzie amerykański „Przegląd Bombardowań Strategicznych”¹⁾.

★

Zanim jednak dokonamy przeglądu efektów bombardowań strategicznych Japonii, warto chwilę uwagi poświęcić charakterystyce działania bomby atomowej. W chwili eksplozji bomba wytwarza się temperatura równa temperaturze wnętrza Słońca (najogólniej biorąc reakcja wodorowa to właśnie reakcja słoneczna). W jej rezultacie następuje absolutne lub częściowe spalanie obszaru powierzchni od jednego do kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Rozmiar zniszczenia zależy od siły bomby i wysokości jej wybuchu nad ziemią. O rodzajach bomb atomowych w zależności od ich siły w „V Kolumnie” już pisano. Pozostaje kwestia odległości wybuchu od powierzchni. Jest to wielkość stanowiąca najściślejszą tajemnicę wojskową. Wiadomo tylko tyle, że istnieje odległość optymalna, prawdopodobnie w granicach 300—600 m. Wybuch bomby powyżej i poniżej tej odległości, jest już znacznie mniej skuteczny. W każdym wypadku wybuchem swoim bomba atomowa działa tylko na powierzchnię ziemi. Urządzenia znajdujące się pod powierzchnią, zwłaszcza w umocnieniach, nie są wrażliwe na eksplozję.

Najlepszą ilustracją powierzchniowego działania bomby niechaj będzie fakt, że w strefie absolutnego zniszczenia w Hiroszynie ocaleli ludzie przebywający w prowizorycznych schronach przeciwlotniczych.

Druga bomba atomowa, rzucona na Nagasaki, miała prawie równą wielkością Hiroszynie, choć była znacznie silniejsza, spowodowała jednak, wskutek specyficznego ukształtowania powierzchni, trzykrotnie mniejsze zniszczenia i dwu-

krotnie mniejszą liczbę ofiar w ludziach.

★

Powierzchnia japońskich wysp macierzystych ma się do powierzchni Stanów Zjednoczonych jak 1 do 20.

Ludność — jak 1 do 2. Potencjał przemysłowy w czasie II wojny — jak 1 do 10. Tylko 3 proc. powierzchni Japonii użytkowano rolniczo. Ogromna większość żywności pochodziła z importu. Również tylko 15 proc. surowców dla przemysłu pokrywało własne kopalnictwo.

Z tego zestawienia płynie oczywisty wniosek: niewralgicznym punktem japońskiej obrony były jej linie komunikacyjne, a więc marynarka handlowa. Bez zaprzelenia z zewnątrz ludność musiałaby umrzeć z głodu, a przemysł stanąłby z powodu braku surowców.

Tak, zdawałoby się, oczywiste założenie zlekceważył

„Komitet Szefów Sztabów” USA decydując się na strategiczne bombardowania terytorium macierzystego Japonii, zamiast na frontalną akcję przeciw jej flocie handlowej. W rezultacie efekty strategiczne były jaskrawie nieproporcjonalne do nakładu środków.

Oto liczby: W wojnie na Pacyfiku zrzucili Amerykanie 656.000 ton bomb. Ogromna większość tego „tonażu” — prawie pół miliona — przypada na taktyczne niszczenie niezwykle zacięgłego oporu japońskiego żołnierza. 160.000 ton bomb zrzucono w ramach „bombardowania strategicznego”. Z tego 147.000 — więc ponad 90 proc. zrzuciły samoloty

EDWARD CASTEL

Interwencja w Suezie (2)

OPERACJA „TERRAPIN” — KŁOPOTY Z OPERACJĄ „HAMILKAR”

Ekspert wojskowy Anglii i Francji obradujący w Londynie przedstawiają swoje wnioski:

1. Operacja przeciwko Egipcjom musi być równocześnie powietrzna, lądowa i morska. Powietrzna podwójnie: raz — niebo nad Egiptem musi zostać oczyszczone z egipskich samolotów; dwa — dopiero wówczas można rzucić spadochroniarzy. Równocześnie lądowa, by wykorzystać powodzenie osiągnięte przez wojska spadochronowe. Równocześnie morska — oddziały trzeba do wybrzeża egipskiego przewieźć, a następnie zapewnić im wsparcie dział okrętowych.

2. Ani Anglia ani Francja nie posiadają „korpusu interwencyjnego” to jest grupy uderzeniowej wyposażonej we własne lotnictwo, okręty, czołgi i artylerię i będącej stale w pogotowiu. Korpus taki należy dopiero stworzyć.

3. Przede wszystkim należy stworzyć połączony sztab, gdyż dowództwo NATO w istniejących okolicznościach nie spełni tego zadania, a nic innego nie istnieje.

4. Dużo czasu upłyne, zanim korpus będzie mógł rozpocząć akcję. Prawdopodobnie kilka miesięcy. W najlepszym razie sześć tygodni.

Następnego dnia zapada decyzja stworzenia korpusu interwencyjnego. Decyzję podejmuje szefowie rządów

Angli i Francji — Eden i Mollet. Sprawa otoczona jest najściślejszą tajemnicą. Korpus otrzymuje nazwę — hasło: „Terrapin”. Kłopoty z napisem „Terrapin” oświetlają w Anglii tylko premier i królowa, we Francji tylko prezydent, premier i minister obrony narodowej. Kłopot tych nie mają prawa otwierać nawet szefowie sztabów. Rząd francuski dowiaduje się o planie ekspedycji dopiero w trzy miesiące później, w dniu ogłoszenia ultimatum, po powrocie Molleta z Londynu. Ambasador francuski w Londynie, Chauvel, nie wie absolutnie o niczym do 29 października. Minister spraw zagranicznych Francji przybywający do Londynu na konferencję z Edenem nie wtajemnicza nikogo. Nie wiadomo też nic na Quay d'Orsay — we francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wtajemniczeni zostali jedynie generałowie dowodzący oddziałami wchodzącymi w skład korpusu interwencyjnego.

Kierownictwo operacji objęli Anglicy. Byli bliżej Amerykanów, mieli więcej szans na uzyskanie neutralności Stanów Zjednoczonych. Mieli w swoim ręku Cypr — bazę wypadową dla zamierzonej ekspedycji. Mieli bombowce dalekiego zasięgu, których Francja nie miała. Byli w Egipcie przez długi czas i znali ten kraj na wylot. Na wypadek konieczności oczyszczenia kanału mieli najlepsze do tego narzędzie — potężną marynarkę.

Ustalono skład procentowy korpusu. 60 procent (około 50.000 żołnierzy) Angliców, 40 procent (około 30.000 żołnierzy) Francuzów. Później, już po wystosowaniu ultimatum, udział Francji wzrósł do około 50 procent.

Uzgodniono schemat organizacyjny — nie dwie współdziałające ze sobą odrębne armie, lecz jednolity korpus z głównodowodzącym — Anglikiem i jego zastępcą — Francuzem. Podlegali im dowódcy sił morskich, powietrznych i lądowych korpusu — Anglicy, oraz ich zastępcy — Francuzi. Zastosowano więc zasadę integracji wzorując się na NATO, w nadziei, że pozwoli to uniknąć zwykłych cech ujemnych koalicji — rywalizacji, niezgody, tarć nieuniknionych między sprzymierzonymi równymi stanowiskiem.

Zasada integracji zdała egzamin w odniesieniu do lotnictwa. Siły lądowe obu państw natomiast nieomal od chwili lądowania w Port Saidzie powróciły do autonomii.

Powodów tego było kilka. Różnice uosobienia między Anglikami a Francuzami, względy polityczne, ambicje Francuzów, którym nie odpowiadała rola drugorzędna wynikająca ze schematu organizacyjnego.

Systemy wojskowe angielski i francuski mają ze sobą niewiele wspólnego. W NATO Anglicy i Francuzi nie byli w stanie uzgodnić nawet typu karabinu, gwintu śrub do pojazdów mechanicznych. Stosowali odmienne silniki, używali benzyny o różnej liczbie oktanowej. Ich czołgi i działa różniły się we wszystkim, nawet kaliber miały inny. Ich racje żywnościowe były odmienne. Żołnierze angielscy piją herbatę, która Francuzów przyprowadza omdłości. Żołnierze francuscy jedzą sardynki w oliwie, po których Anglikom robi się niedobrze.

Katastrofalnie przedstawiała się łączność między sztabami. Angielskie „Signals” i francuska „Transmission” nie rozumiały się wzajemnie. Radiotelegraficy francuscy nie znali angielskiego, a angielscy nie władali francuskim. Nie można było zastąpić ich żołnierzami znającymi oba języki, gdyż wyszkolenie w łączności wymaga wielu miesięcy, a w pewnych wypadkach nawet kilku lat. Byłoby łatwiej nauczyć radiotelegrafistów innego języka. W czasie akcji dokonywano wymiany radiostacji i operatorów, było to jednak rozwiązanie połowiczne tylko i łączność do końca była zła.

Odmienne były koncepcje operacji. Francuzi chcieli uderzyć szybko, bezpośrednio na Suez. Anglicy słuchali rozkazów Downing Street,

które odzwierciedlały wahania premiera angielskiego.

Francuzi byli przeciwnikami połączenia sztabów uważając, że pozbawi to ich pracę koniecznej elastyczności i podporządkuje zupełnie Anglikom.

Wreszcie oddziały francuskie składały się z weteranów licznych walk, dla których bitwa nie była wielką niewiadomą, którzy w ogniu byli nieraz. Spośród Anglików praktycznie biorąc tylko oficerowie od majora wwyż byli przed dwunastu laty w akcji.

Uzgodniono nazwę operacji: „Operacja Hamilkar!” Ale nawet i tu integracja okazała się niemożliwa. Anglicy na czołgach załadowanych w Liverpoolu na statki malowali literę „H”. Francuzi piszą „Hamilkar” przez A — „Amilcar” — nazwał więc swój korpus „Force A”.

(c. d. n.)



4 str. odgłosu

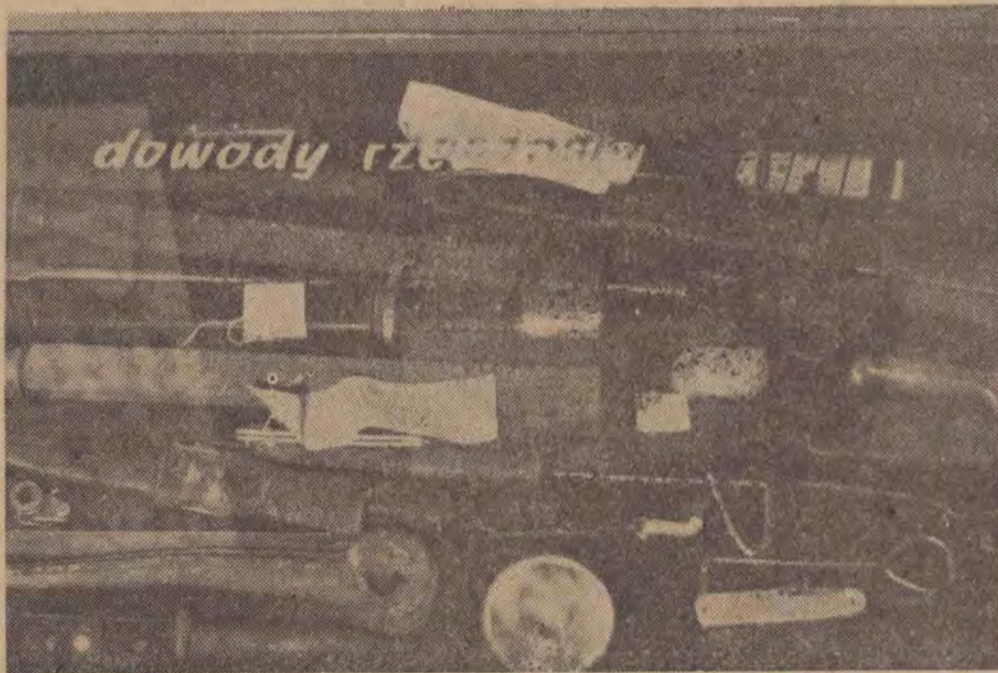
DZIECKO KTÓRE SPOTY- KAMY

(Dokończenie ze str. 2)

blemetykę. Zresztą i samej wystawy nie można jedynie obejrzeć, to jest wystawa, którą trzeba przeżyć. Podobno ma ona objechać wszystkie wojewódzkie miasta. Niezależnie jednak od tego, jeszcze bardziej celowe byłoby wydanie całego jej scenariusza w formie albumu wraz z tekstem referatu magnetofonowego. Byłoby to cennie wydawnictwo w rękach pedagogów i pracowników społecznych.

Nie można pomijać wrzedeł, które odnosi się przy przeglądzie materiałów obrazujących opracowywanie „spraw” poszczególnych nieletnich przez MO. Patrzyłem — rzecz mogę — fachowym okiem na te liczne meldunki, protokoły, wywiady, dochodzenia, kataniezy. Przykładowy rejestr czynności w stosunku do jednego nieletniego wykazuje 64 pozycje — i to jakie pozycje — wszystko najczystszej wody opiekuńczo-wychowawcze. Imponująco dobra robota. Nic tam z typowo policyjnych tradycji. Tradycje owszem, lecz tradycje naukowe, wypracowane kiedyś w latach międzywojennych w seminariach akademickich profesorów Bałaya lub Radlińskiej i może najwięcej w Poradni Pedagogicznej — prowadzonej w latach trzydziestych przez niestrudzoną w tej służbie Borowiczową. Przez Izby Zatrzymań MO przechodzi rocznie 12—14 tysięcy nieletnich. Spraw opracowanych do sądów w sprawach nieletnich oddaje MO rocznie około 20 tysięcy.

Tak się złożyło, że gdy czytałem dane o ucieczkach dzieci z domów (w 1957 r. — 6.778 wypadków) oraz z zakładów opiekuńczych (5.856 wypadków) dobiegł mnie głos odtwarzanego na magnetofonie referatu: — „Nieprawdą jest, że ucieczki dzieci powodowane są fantazją i chęcią użycia przysług; dzieci uciekają przede wszystkim dlatego, że jest im źle...” Słucham — uszom nie wierzę, a jednocześnie ogarnia mnie śmiech. Dlaczego? Zatrzyj. Czytelniku, do pierwszego lepszego podręcznika pedagogiki, zapytaj pedagogów „renomowanych”, pytaj wizytatorów ministerialnych — zawsze otrzymasz odpowiedź, że to fantazja i chęć wyżycia. Otóż i powód śmiechu — trzeba było przyjść do milicji, aby tu znaleźć potwierdzenie prawdy dawno mi bliskiej. Wiele rozmawiałem z uciekinierami i wyniosłem z tych rozmów i badań przekonanie, że z wyjątkiem nielicznych przypadków patologicznych — dzie-



cka włóczęgi, wszyscy uciekają, gdy wyrządza się im krzywdę.

Warto zastanowić się nad faktem, że na około 40.000 wychowanków w wieku szkolnym w domach dziecka i zakładach wychowawczych dla moralnie zagrożonych ucieka w ciągu roku około 6.000 wychowanków. Nie najlepiej to świadczy o zasadniczych urządzeniach opiekuńczo-wychowawczych naszego kraju.

Proces reedukacji moralnie zagrożonych zaczyna się niewątpliwie od „chwytania materiału do przetwórk”, lecz ciężar gatunkowy tkwi w „przetwórnicy” — o tych różnorodnych społeczno-pedagogicznych urządzeniach. Tymczasem wygląda na to, że aparat „chwytający” stał się ciekawszy niż same „przetwórnice”, które cierpią na brak fachowców i właściwą obsługę, pracują „kuchennymi” metodami, nie są w stanie podjąć potrzebom ilościowym, a jakościowo więcej marnują niż przetwarzają. Nasza MO, gdy chodzi o sprawy opiekuńczo-wychowawcze nie grzebie już prymitywnym grabkami, MO stała się nowoczesnym, dobrze uzupelnionym terenowo aparatem.

Słuszność tego spostrzeżenia potwierdza choćby praktyka Łodzi. Dzielnicy MO po przeprowadzanych spisach i wywiadach lepiej znają potrzeby opiekuńczo-wychowawcze miasta oraz lepiej orientują się w rozmieszczeniu i powstawaniu ognisk deprawacji niż kierownicy szkół, pracownicy pedagogiczni inspektoratów i odpowiedni, a zarazem odpowiedzialni za prace opiekuńczo-wychowawcze — pracownicy Kuratorium. Dostarczone przed blisko dwoma laty do ówczesnego Wydziału Oświaty materiały, z trudem zebrane przez MO leżą dotychczas nieknięte.

W książce pamiątkowej wystawy jedna ze zwiedzających osób napisała: „Jestem bardzo wdzięczna Milicji Obywatelskiej za zorganizowanie tak bardzo ważnej wystawy ale jednocześnie się wstydzę, że milicja musi nam wychowawcom i nauczycielom przypominać o tak bolesnym problemie...”

HENRYK DINTER



Zdjęcia do reportażu z Wielunia (str. 1, 5 i 6) wykonał

Wacław Biliński

TADEUSZ PAPIER

Przemysł i moralność

W Praszce koło Wielunia obrabowano sklep spółdzielczy. Dyżurny milicjant nie chciał na ten temat za wiele mówić. Odsyłał nas do komendanta. A komendant jechał w tym czasie do Praszki. Właśnie gdyśmy szli do Komendy Powiatowej, minęło nas małowane na niebiesko auto MO. Nie wiedzieliśmy wtedy że jedzie w nim prokurator, eksperci, kryminalodzy i inni specje, którzy z niewidocznych śladów potrafią naszkicować portrety przestępcy. Auto mknęło przez ulicę Wielunia z wyciem syreny. Ludzie ogłędali się niespokojnie.

Milicjanci są bardzo matomówni. Rozmowa, którą przeprowadziliśmy w Powiatowej Komendzie MO nie dostarczyła za wiele sensacji. Wedle tych relacji miasto jest spokojne. W nocy nie ma awantur. Można chodzić bezpiecznie po ulicach. Pijanych nie widać. Poza nadużyciami natury administracyjno-urzędniczej (manco w sklepie itp.) nie dzieje się tu nic godnego uwagi.

Byłem zaniepokojony. Zadałem pytania, rozwijałem je i... odpowiadałem. Milicjant młody, uprzejmy, powściągliwy — przytakiwał. Rzuciłem prowokujące: Czy złapał Franciszka Macombera? Milicjant się ożywił: Kogo? Dlaczego Franciszka skąd znam Franciszka, który to Franciszek?

Odparłem, że to postać książkowa. Ojcem tej postaci jest Hemingway. W związku z życiorysem Macombera nasuwają mi się pewne refleksje, być może przydatne przy odtwarzaniu portretu sprawcy napadu na sklep w Praszce. Macomber „obudził” się w czasie polowania na bawoły w Afryce. A w jakich okolicznościach „dojrzał” bohater z Praszki? Franciszek Macomber zginął od kuli. Hemingway twierdzi, że życie Macombera było krótkie, ale „szczęśliwe” i pełne treści. Sprawca napadu najpewniej zakończy karierę w areszcie. Będzie miał czas na rozpamiętywanie sensu swego życia. Ale gdzie go odnajdzie?

Okazało się w końcu, że wywiad na temat ulicy wieluńskiej winieniem przeprowadzić na posterunku MO a nie w Komendzie. Bowiem posterunek żyje powszednim życiem miasta, jego funkcjonariusze spotykają się co dzień z ludźmi, pomagają, ratują, popadają w konflikty.

Udałem się do sądu, do tej zasłużonej instytucji, która w pewnym sensie odbija życie miasta i najbliższej okolicy. Między owym wieluńskim światem, a małą scenką rozpraw na sali sądowej można wykryć niewątpliwą zbieżność a nawet więcej, bo współzależność.

(Ciąg dalszy na str. 6)



Pasje małego miasteczka

I z najbardziej zapadłego kąta można się dostać do nieba — pomyślałem obserwując Wieluń z pewnej odległości. Na oko, jak u Krasickiego — ileś tam klasztorów, czterech bram ułomki i gdzieś niedziedzi domki. Właściwie nie tyle może klasztorów, ile kościołów, a więc miejsc zgoła niecelitarnych, bardziej powszechnych; stąd łatwiej awansować do nieba w skali masowej niż z klasztoru. Skoro już mowa o niebie, warto dodać, że Wieluń posiada własny organ prasowy, mutację „Słowa Powszechnego”. Gazetę wydaje PAX, stowarzyszenie działające na niwie odnowy moralnej i spółdzielczości produkcyjnej, a więc zasłużone wobec ziemi i nieba. Jak już jesteśmy przy prasie trzeba wyjaśnić, że Wieluń ma i drugą gazetę, mutowaną w Częstochowie. Właściwie brakuje jeszcze tylko mutacji naszego „Głosu Robotniczego” do kompletu. Rozumiem, rozumiem, „Głos” musiał zawiesić wielką mutację, 45 ludzi nie da rady, przytnie się więc znowu z dziesięciu i jakoś to będzie. Nie może zabraknąć w Wieluniu Łodzi skoro jest tam Warszawa i Częstochowa.

Tak czy inaczej można śmiało powiedzieć, że przy takim Wieluniu, który liczy około 11 tysięcy mieszkańców „wysiada” Zduńska Wola, Sieradz, Kutno, miasta znacznie większe, ale bez własnych organów prasowych. Czyli — Wieluń nie jest zapadłym kątem. Jakże mylą pozory! Powiat rolniczy, można się w nim doliczyć jednej zaledwie fabryczki w Praszce i jednej cukrowni, pracującej reszta sezonowo. Ot, i cały przemysł wieluński. Co prawda jakiś tam przemysł przewidywano w dawnym planie sześcioletnim, plan jednak wykonano ze szczególnym nieuwzględnieniem Wielunia. Możliwość handlowe powiatu o tyle są wąskie, że nie obrażając Sieradza, Zduńskiej Woli i Wieruszowa, brak tu większych miast, a więc i rynków zbytu. To ma, owszem,

pewne zalety, chłopcy nie zalegają z dostawami, powiat jest mimo wszystko ruchliwy, ludzie walą pociągami do pracy w Częstochowie, Wrocławiu, a nawet w Nowej Hucie, doksztalając się w podróży.

Wieluń buduje się imponująco, z szweską pasją. Nie bez kozery przypominam to ludowe porzekadło. Kiedyś mówiło się tak: szewc i krawiec sługa boży, jednemu ukradnie, drugiemu przyłoży. Możliwe, ale nie w Wieluniu, miście dobrych krawców i szweców. Szugami bożymi chyba są, to wynika ze wstępu, ale nie z tych, co szpital okradną, żeby na kościół dać. W samym śródmieściu buduje wieluńskie rzemieślnicze, obszerny pawilon przeznaczony na sklepy i co — bodaj ważniejsze — będzie tam piękna, nowoczesna sala teatralna i kinowa na 500 osób. Budują i inne drobne przedsiębiorstwa spółdzielcze, budują się także kierownicy sklepów, ale to już nie jest zjawisko specyficznie wieluńskie. W całym kraju pokazują sklepowi, co można uzyskać z tysiąca złotych pensji. W takich warunkach i państwo nie pozostaje w tyle, obok wielu bloków postawi Wieluńowi nowe stare miasto. Wieluń chętnie bawi się w historyczne wspominki, sięga pamięcią aż do XII wieku. Miasto budzi się i zasypia przy dźwiękach hejnału granego z galerijki ratusza. Nie chcę być złośliwy, ale łatwiej po tym hejnalu obudzić się niż zasnąć. To jest raczej aluzja pod adresem wciąż u nas jeszcze niedoskonałego systemu kształcenia hejnalistów. Sprawa ważna, podobno o własny hejnał zabiegają — Sieradz, Łowicz, Łęczycza, Piotrków, Skierniewice, Brzeziny, Uniejów i Żelów. Chcą się odegrać choć w ten sposób na młodziej siostrze Łodzi.

No ale mówimy przecież o budownictwie. To naprawdę piękna pasja małego Wielunia. Nie mogę sobie w tym miejscu odmówić zreferowania ogromnie ciekawego wydarzenia z października tego roku. Bohate-

ra chciałem odwiedzić, owszem, zastałem go, ale mnie nie wpuścili. Pan Jerzy Paruch siedzi w więzieniu, a to nie jest, jak wiadomo, prywatny domek jednorodzinny. Cóż ten Paruch nabroił? Zajmował się przydziałami mieszkań, ale w sposób dość niezwykły. Ustawił sobie mianowicie stolik pod ratuszem i wygłosił dłuższe przemówienie do zgromadzonych ad hoc ludzi. Ludzie znowu zrozumieli tyle, że poprzydział kawalerki przedstawicielom władz Wielunia w okolicznych więzieniach. Pytałem co jeszcze pan Jerzy mówił. Wieluńscy odpowiedzieli mi jak Spartanie, postom samijskim: co mówił na początku, zapomniałem, a dalszego ciągu nie zrozumieliśmy, ponieważ nie pamiętaliśmy już początku. Ostrożni. Dlatego właśnie chciałem z panem Jerzym osobiście. Z akt sprawy wynika, że pan Paruch nie uważnie przeczytał listy przydziałów, na której umieszczono i jego. Obrażony na miasto zaczął więc pod ratuszowym zegarem, przyniósł własną mównicę i wywalczył sobie jeszcze jedno mieszkanie. Siedzi na razie na kawalerce w więzieniu, a żona zgodnie z przydziałem w blokach. Nieładna pasja, prawda? Może mści się tu jakaś wiekowa tradycja pieniacza?

Odnajdywałem w każdym razie ładniejsze pasje w Wieluniu. Pan doktor Dobrzyński, ogólnowieluński Jędram pasjonuje się badaniami społecznymi korzeni gruźlicy. Bada właśnie Wiesława, urządził interesującą wystawę, bogato ilustrowaną. Pan Aleksander Przybylski, kierownik biblioteki powiatowej zorganizował udane czwartki literackie, pan Marian Ciechanowski prowadził w Kraszkowicach zespół dziecięcy. Jego „Wesele dziesiętkowickie”, barwne widowisko taneczno-muzyczne, cieszy się wciąż nie słabnącym powodzeniem. I nagrodę pan Ciechanowski otrzymał za udział w konkursie organizowanym przez nasz wojewódzki Wydział Kultury.



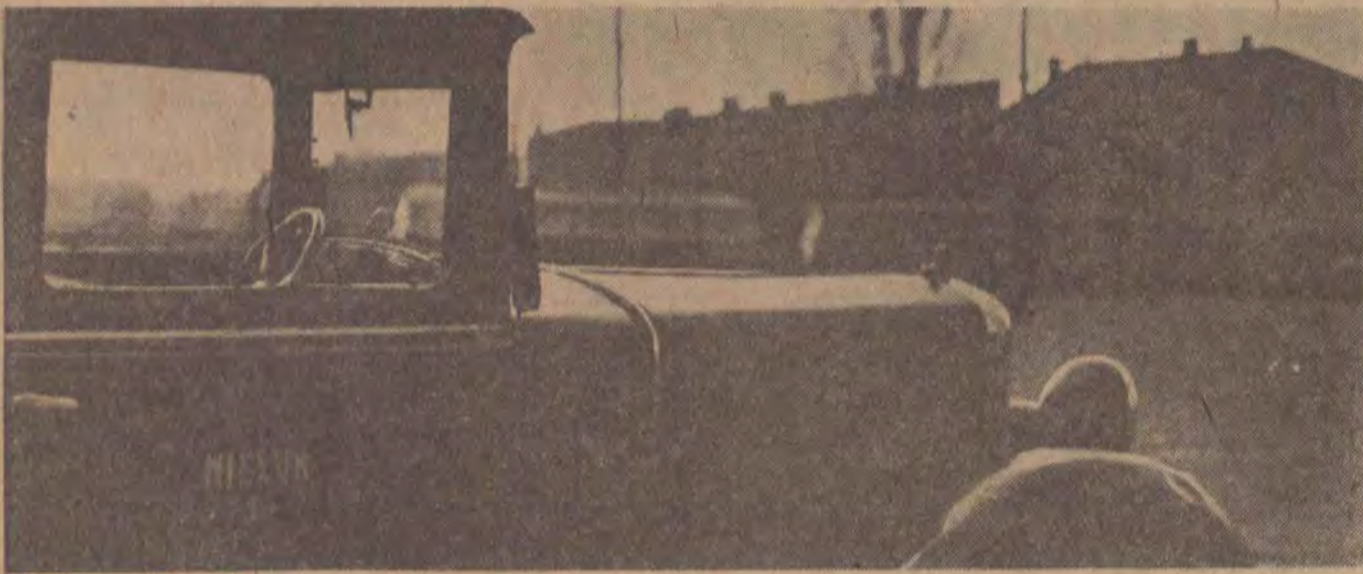
Młodzież obu liceów — pedagogicznego i ogólniaka pasjonuje problem Marka Hłaski. Czy Marek Hłasko jest naprawdę taki męski, taki przystojny, czy naprawdę tak kocha samochody i kobiety — jak odpowiadać na tego rodzaju pytania? Jak tu utrzymać linię polityczną. Mam takie wrażenie, że przekonałem trochę obecne na sali szesnasto i siedemnastoletnie kobiety, kiedy oświadczyłem dramatycznie: ten facet pożyczyl ode mnie 50 złotych na wódkę i przysnął za granicę. Nawet jeżeli mi zwróci pieniądze w dolarach, to bank wypłaci po cztery złote od sztuki i co będę miał? To było jednak przekonywujące, a w każdym razie nadszarpnęło opinię Hłaski w Wieluniu.

Odnajdywałem i zaskaku-

jące pasje. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: jesteśmy w jedynej kawiarni wieluńskiej. Niech się dzieje wola nieba — powiem prawdę — jesteśmy i pijemy wódkę z flaszki po lemoniada. Ze mną siedzą panowie radni, którzy uchwalili drógoczącą większość głosów zakaz sprzedaży alkoholu w tej właśnie kawiarni. No i musieli zmienić flaszki. W trakcie rozmowy dowiadujemy się rzeczy strasznych. Zduńska Wola, to przebrzydłe miasto, podkładało Wieluniowi nogi. I doprawdy niewiele brakowało, aby miejscowa drużyna piłki nożnej straciła mistrzostwo i nie weszła do III ligi. Państwo zapewne rozumieją, na jaką zanosilo się kłękę. Zato w mieście i okolicy, flagi spuszczone do połowy masztu, żałobne postępowanie rady narodowej, minuta ciszy w każdej szkole. No, ale coż takiego zrobili ci ze Zduńskiej Woli? Historia na homeryckie pióro. Na decydujący mecz zmobilizowali wieluńskie wielki raid kibiców. Sznur ciężarówek pociągnął na Zduńską Wolę, gdzie rozstrzygały się losy awansu miasteczka do III ligi. O ludzka namiętność, która nawet stróżom porządku publicznego każesz robić zamęt nie z tej ziemi! Zduńskowolacy obsadzili szosy wiodące do swego miasta gestymi posterunkami milicji. Milicja przejrzęła skrupulatnie samochody, tu stwierdziła brak jakiegos światelka, tam znowu, że ławki nie podokrecały i dałyje zawracać kibiców do Wielunia. Niewyczerpana jest jednak miłość wieluńskich do swojej jedynastki. Część przewała się przez posterunki, część

bocznymi drózkami wjechała do miasta. Chytrzy zdunskowolacy, sami przecież niemożliwi kibice, przewidzieli obecność wieluńskich na boisku i dlatego skon-sygnowali całą miejscową straż pożarną, gotową w razie czego do użycia siławek. Nie chcę już wspominać w jaki niegodny sposób łódzki Widzew został moralnym mistrzem klasy „A”. Ten tytuł należy się, rzecz prosta wieluńskim chłopcom. Nie wierzyć! I ja bym nie uwierzył, gdybym tego nie usłyszał od towarzysza pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego, naczelnika Wydziału Oświaty i naczelnika Wydziału Finansowego.

Proszę tylko nie myśleć, że sobie kpię z tej pasji. Może byłaby ona niedorzeczna, gdyby była jedyna. Tymczasem sekretarz żyje wszystkimi innymi pasjami małego miasta — budownictwem mieszkaniowym i kulturalnym, myśl o powiązaniu rozproszonej trochę inteligencji, zabiega o budowę domu nauczyciela. Kierownik Wydziału Oświaty? Owszem, jeździ na mecze aż do Warszawy, ale pilnuje budowy 9 szkół w powiecie, dogląda pracy 29 komitetów budowy nowych szkół. Pasje tych ludzi chodzą parami, po kilka na raz. Sport nie jest mało znaczącą dziedziną życia małego miasta. A że zdradzają odrobinę stronniczości i niechęci w ocenie niektórych chwytów Zduńskiej Woli? Publi-lus Syrus powiada: „może bóg potrafi zachować umiar w miłości”. No, a to są ludzkie z krwi i kości, dla których nie nie jest obojętne co przysparza Wieluniowi chwały.



Przemysł i moralność

(Dokończenie ze str. 5)

Byłem na takiej sprawie. Chłop prawie bezrolny (posiada gdzieś parę arów) miał, wedle oskarżenia ukrasła sąsiadowi kilka kilogramów owsa, tak zwanego „smykanego”. Szedł sobie latem na spacer koło pola i „smykał”. Milicjant przyszedł sprawdzić. Oskarżony zażądał konfrontacji z sąsiadem. Chciał udać się z milicjantem do niego. Milicjant nie

wyraził na to zgody. Wynikła sprzeczka. Milicjant miał uderzyć oskarżonego kilka razy pałką, a oskarżony miał „oddać” milicjantowi kamieniem. Prokurator — uroczą i młodą pani — wymieniła kilka paragrafów: 123, 122 i bodajże 257

Ja nie znam się na tych paragrafach — jak można je nazwać — „kwiatkach zła”. Wiem tylko tyle że ta scena nie była dla mnie obca. Znane rzeczy! Motyw smykkanego owsa. I dalej... motyw „półpańszczyżnianych form wyzysku, nie kończąc się od odrabiania procentów” — tego, co po rosyjsku nazywa się kabałą, po niemiecku Zinnknachtschaft, a po polsku można by nazwać

pańszczyżnianą lichwą lub niewolą lichwiarską... Wszystko także znane, swojskie. I odbywa się właśnie na scenie wieluńskiej, owej przedwojennej stacji wyjazdowej bezrolnych chłopów „na saksy”. Przeproszę: stacja była w Praszce. Ale urzędował tam starosta wieluński.

Włec nasz chłopak wieluński, Franciszek Macomber. Z tego, co powiedziała pani prokurator, wynikałoby, że spotkaliśmy oszustów i bliźniaka molierowskiego Skapena, którego okoliczności i przyjaciele uczynili kimś jeszcze bardziej odrażającym, bo bez mata zbrodniarzem. „Bo gdyby kamień trafił w skroń...”

Cóż się to dzieje na tej scenie zatłoczonej świadkami?

Pokazano mi księgę spraw. Astronomiczna cyfra — numer porządkowy bieżącej rozprawy — 790! A teraz może toczy się osiemsetna, bo każdy dzień przynosi coś nowego. Ile oskarżeń publicznych i prywatnych, ile krasomówczych obron, ile konfliktów, ile „leż i cierpienia”!

O! ten spokojny Wieluń. Ulice Wielunia istotnie są spokojne i to nie w przerozonym znaczeniu. Ulice Wielunia są piękne. Zabytki są interesujące. Ludzie są ciekawi. Dużo inicjatyw. Charakterystyczne jest jednak to, że tam, na sali są-

dowej czas jakby się zatrzymał. Sprawy wieluńskie, to przeważnie sprawy nie z tej epoki. Może dlatego i chyba na pewno dlatego, że Wieluń, jak i dawniej — jeździ „na saksy” do fabryk częstochowskich, wrocławskich, katowickich. „Wieluń także przemysłu” — powiedział mi jeden milicjant. To prawda. Brak przemysłu, stara, rolnicza struktura powiatu, stare obyczajowe normy moralnego życia. Na zewnątrz cicho, spokojnie, wypełnione kościoły, pod tą powłoką „male” przestępstwa, sąsiedzkie kłótnie, pieniaczwo, atmosfera, z której co jakiś czas wyrasta tutejszy bohater kryminalny.

TADEUSZ PAPIER



LIST Z PROWINCJI

Wszystko jest zastarzałe —
domy zbrązowiały
niby paluchy przeżarte
nikotyną
z drogą kurzącą — jak
papierosem —
Na parapetach rządy
pelargonii,
czerwonych ślepi mrocznych
mieszkań,
w których żyją nakręcane,
bijące zegary;
w szafce z szybą stojącej
zamknięty jest czas.

Dalej klasztor o oknach
schowanych za drzewem
jak pod habitem piersi
zakonnicy,
co uniknęły swego
przeznaczenia:
pieszczoty i pokarmu.

Obok dla dzieci — rzeka
ogromna,
po której pływają białe
okręty —
rynsztek,
a jeszcze dalej
targowisko,
gdzie babki odmawiają:
wierzę w ścieżki, na których
zostaje ślad bućka,
wierzę w płomień gromnicy,
wierzę w ucałowanie dłoni
plebana,
wierzę w łóżko z siennikiem
i kanapę z jaškami,
wierzę w sny i zle
przecucia —
amen —

Na targowisku jarzyn
i przekonań —
Na krańcu — mieścina u
okna zamknięta
butlą z jagodami (na choro-
by żołądka)
i doniczką z uschniętym
badyłem.

Stąd jest wszędzie daleko,
a najdalej do siebie samego.

A jednak —
szukam blazek migotliwych
przez przyjaciół zwanych
nadziejami.

Nie ulega (dla mnie) najmniejszej wątpliwości, że Teatr Powszechny w Łodzi dźwiga się wzwyż. A że robi to w drugim z kolei wielce udanym spektaklu, w „Królowej przedmieścia”, z lekkością i wielkim wdziękiem — jest dodatkową zasługą.

Zły i ponury przyszedł sprawozdawca do teatru. Z czym do gości? — myślał. Z „Królową przedmieścia”? Po „Kramie z piosenkami”? W Teatrze Nowym? Po co czerpać z tej samej schillerowskiej beczki, kiedy już to uczynili niedawno na ulicy Więckowskiego?

A tu, masz ci los, czyściutkie, pełne wdzięku przedstawienie, prawdziwie „śpiewane i tańczone malowanki”, według schillerowskiego wzoru. Takie wrażenie zrobiła całość na sprawozdawcy. Co do szczegółów, można się kłócić. Więc kłóćmy się, Panie Dyrektorze! (oczywiście, mam na myśli reżysera spektaklu, Zbigniewa Koczanowicza).

Przede wszystkim sprawa samej królowej przedmieścia. Według mnie — musi to być dziewczyna, że ho, ho! Nie, zgadza się Pan? No to przepraszam!

Może dlatego, że kiedyś sam nosiłem pelerynę, prawdziwą oraz, że tak powiem, psychiczną, wstydzę się nieco (a wynika to, jak się rzekło, z introspekcji), gdy peleryniarze rozprawiają tak długo o forsie, wódce, sztuce, kobietach i w ogóle filozofii.

No, i że peleryniarze grają na serio peleryniarzy, bez żadnego perskiego oczka — w przeciwieństwie do pozostałych postaci. Wiem już: tego wymaga schillerowska



tradycja spektaklu. Przydałoby się jednak rewizja tej tradycji w celu „odbrązowienia” peleryniarzy (bohemy artystycznej). Tak, czy nie? Przynajmniej z miejsc, że długość peleryniarskich scen jest również uzasadniona potrzebą odpoczynku — dla tancerzy. Bo ile tańczą i jak dobrze tańczą w tej „Królowej przedmieścia”!

Czy Pan chce czy nie

LEOPOLD BECK

KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA

chce, Panie Dyrektorze, będzie Pan musiał się podzielić laurami z choreografem — Jadwigą Hryniewicką.

A czy również ze scenografem — Antonim Bystroniem? Jeśli chodzi o czystą scenografię, to tak, co do kostiumologii, mam pewne wątpliwości, bo przecież nie można ubrać austriackich żołnierzy (w III akcie) w nie wiem jakie mundury. To samo dotyczy gimnazjalisty. A ja się w tej dziedzinie, jako przedstawiciel CK Austro-Węgier na Łódź-Polesie nieco orientuję. (I andrus z latą obok laty, a na lacie lata, to dziś już nie to, Karykatūra, powiadają, jest wesołym podkreśleniem charakterystycznych cech, a nie lopatologią, czyli, jak w danym wypadku, latologią miast być kostiumologią).

Nielatwą sprawą miał zespół. Zespół nie do poznania — w swoim rozprawieniu, w lekkości scenicznego działania, tak że widz przyjmuje rozprawienie jako najbardziej prawdziwe.

O tych, którzy się wysuwają na czoło (jak zwykli pisać inteligentni sprawoz-

dawcy), nie będziemy mówić, by nie skrzywdzić tych, którzy się nie wysuwają na czoło, a mimo to mają swoje wielkie i to bardzo wielkie zasługi w udanym przedstawieniu.

A jednak chciałoby się niektórym aktorom — jako przedstawicielom zespołu — podziękować za przyjemny wieczór, na przykład: Włodzimierzowi Skoczylasowi (Antek, król andrusów),

Połomska ma bardzo dużo specyficznego wdzięku, co jest darem Bożym, jeśli się go umie na scenie wykorzystać. A Helecia umie!

Muzyka? Przy skąpo obsadzonej orkiestrze (kier. Bogdan Pawłowski) nie wszystkim wyszło (nie mówiąc już o tym, że otwierająca spektakl wiązanka muzyczna nie we wszystkich miejscach kunsztownie wiązana była).

Czego w tym przedstawieniu nie ma, począwszy od Jana Straussa (seniora: — marsz Radetzkiego!) poprzez Offenbacha (sławny cancan, z werwą odtańczonej), do krakowsko-łwowskiego folkloru muzycznego. Doświadczone ucho rozpoznaje z łatwością w tym folklorze motywy lub całe partie arcywiedeńskie (jak np. piosenkę flakra krakowskiego, która nią nigdy nie była, bo z urodzenia i kariery brzmiała: „I hob zwa harbe Rapp'n, mei Zeiger! steht am Grab'n...”).

Jak powiedziano — o szczegóły można się kłócić, szczególnie o wykonanie piosenek, z wyjątkiem chóralnych.

Szczegóły szczegółami — ale widz wychodzi z teatru bez niedosytu, pod wrażeniem romantyki przedmieścia i poddasza cyganerii,

zjawisk, które już nie istnieją, chyba że w teatrze i w książce; z pamięcią o bardzo wesołym, pstrokatym, roztańczonym widowisku. W takich wypadkach mówią (nie sprawozdawcy, lecz zwyczajni ludzie): wielkie brawa dla zespołu, dla choreografa i reżysera!

(Cały balast erudycji, potrzebnej, jak się niektórym ludziom zdaje, do konsumpcji tego spektaklu, znajdziecie w zeszycie programowym).

A na koniec — tylko jedna, jedyna mała szpilka, bo zupełnie bez złośliwości żyć — ach, jakże trudno: „Królowa przedmieścia” jest niewątpliwie wielkim sukcesem Teatru Powszechnego, jeśli przykładamy do spektaklu miarę niedawnej przeszłości tego teatru. Excusez moi, jak zwykli mawiać andrusi.

★
Konstanty Krumbowski „Królowa przedmieścia”, wodevill w 3 aktach z intermediami na wzór inscenizacji Leona Schillera. Inszenizacja i reżyseria: Zbigniew Koczanowicz. Współpraca, reżyserka: Tadeusz Kuźmiński. Kostiumy i dekoracje: Antoni Bystron. Opracowanie i kierownictwo muzyczne: Bohdan Pawłowski. Choreografia: Jadwiga Hryniewicka. Opracowanie wokalne piosenek: Andrzej Bogucki. Premiera: 29 listopada 1958 r.



Rysunki Antoniego Bystronia



Nr 8
pod redakcją
prof. HENRYKA ANDERSA
**Dziwna przygoda
panny Canel**

Jak donosi tygodnik „Arts” 8 listopada w pałacu Trianon w Wersalu odbyła się aukcja obrazów — wystawiono na sprzedaż prace wybitnych i głośniejszych twórców współczesnych: Arpa, Brancusiego, Legera, Massona, Marcoussisa i Miro.

Francji, postanowiła upłynnić zbędne remanenty domowe. Ekspertom, którzy zapewniali ją, że zbiory przedstawiają dużą wartość, nie wierzyła ani trochę, ale na wszelki wypadek stawiała się na licytację we własnej osobie.

zadeklarowała publicznie. Po chwili jednak zaniemówiła: rysunek Legera — „Dwie siostry i dziecko” — sprzedano za 461 tysięcy, obraz Marcoussisa — „Kawiarnia” — uzyskał cenę 750 tysięcy franków.

Zgarnawszy przeszło 3 miliony panna Canel odczuła potrzebę zwierzeń. „Obrazy te — wyznała dziennikarzom — kupiliśmy w latach 1928 — 1930, by zrobić przyjemność naszej wspólnej przyjaciółce. Dałyśmy razem z siostrą 15 tysięcy, lecz wcale nam się nie podobały i ani jednego nie zawiesiliśmy nigdy na ścianie. Kolekcja jest zresztą niekompletna. Wypożyczyłam kiedyś obraz Picabill i nie zwrócono mi go a siostra cztery lata temu wyrzuciła na śmietnik dwa duże płótna Miro, które zamokły w pralni u naszych sąsiadów, gdzie zostawiłyśmy je na przechowanie. Widzę teraz, że stała się szkoda...”

Z każdej powłastki wniён wpływać moral, tę o to kończą dwa moral, jeden wniosek oraz teza.

Morał pierwszy: „I w Paryżu nie robią z owsa ryżu”.

Morał wtóry: „Sam nie wiesz, co posiadacie”.

Wniosek: „Kupujcie obrazy”!

Teza: „Kto czyta, nie błądzi. Czytajcie „PALETTE”.



Korespondencyjny kurs języka plastycznego

BRANCUSI

Niewiele zapewne ludzi w Polsce zna to nazwisko. A przecież niedawno zmarły Konstantyn Brancusi, Rumun zamieszkały we Francji, pozyskał światową sławę jako pionier i właściwy twórca nowoczesnej rzeźby.

Namiętnością Brancusiego były ptaki.

Czy wiecie, co to jest ptak? Nie kura, nie gęś, nie orzeł ani wróbel, tylko własne i po prostu PTAK.

Stworzenie śmigły jak myśł, nagły zryw ku niebiosom, pocisk w przestrzeni, punkt zawieszony w bezmiarze, wcielenie lekkości, swobody i polotu. O takich ptakach — przenośniach marzy artysta, w kształcie rzeźbiarskim pragnie zamknąć idee. Jak sam wyznaje, przez całe życie dąży do tego celu i żadna z prac nie daje mu pełnego zadowolenia. Kuje w kamieniu, tnie z drzewa, poleruje brąz i srebro, szuka, ciągle szuka jedynej i niepowtarzalnej formy, zdol-

nej wyrazić istotę przedmiotu.

Odtworzyć czyjaś podobiznę nie jest trudno, tego można się nauczyć w szkole. Ale wniknąć w istotę rzeczy — tego nie potrafi nawet najbłagiej rzeźbiar, tu nie wystarczy sama sprawność ręki i oka.



Constantin Brancusi „Ptak w przestrzeni” (1940, brąz)

odgłosy str.

„CZARNE, NIESPOKOJNE WODY, BLIŻEJ UJSCIA RZĘKI ROZLEWAJĄCE SIĘ NA WIELE KILOMETRÓW, BUDZIŁY GROZĘ W WYOBRAZNI LUDZKIEJ. WYDAWAŁA SIĘ WIELKIM CZARNYM SMOKIEM ROZSCIELAJĄCYM SIĘ NA ZIEMI WĘZOWYMI SPLOTAMI. GDY W GÓRACH TOPNIAŁY ŚNIEGI — SMOK POCHŁANIAŁ OGROMNE POŁACIE KRAJU JAK DROBNY KĘS. CHINCZYCY NAZWALI JĄ „CHEJ-LUN-CJAN”, CO ZNAČZY „RZĘKA CZARNEGO SMOKA”; PO MANDZURSKU WOLAŁA NĄ „SACHALIAN UŁA” — „CZARNA RZĘKA”; PO MONGOLSKU — „KARA MUREN” — „CZARNA NIEZBRODZONA WODA”. ROSJANIE MÓWIĄ O NIEJ „AMUR”. NAZWA TA POCHODZI NAJPIRAWDOPODOBNIJ OD SKAZONEGO IMIENIA „AMAR”, KTÓRYM GILACY OCHRZCILI UJSCIE RZĘKI,

W pierwszej połowie XVII wieku, gdy nad mętne wody Jeniseju przybyła rodzina polskiego zesłańca — Roman oraz syn jego, Nicefor — do dalekich wód „Czarnej Rzeki” docierali zaledwie pojedynczy śmiałkowie. Przedzierali się przez ogromne puszcze, gineli od strzał dzikich tubylców. Porażała ich ogromna przestrzeń — tysiące kilometrów łańcuchów górskich. Ci, którzy wracali z wieloletnich wypraw, przynosili jednak opowieść o bogactwach, które widzieli nad „niezbrodzoną wodą”, o grodach pełnych srebra i skór sobolich, o ziemiach żyznych, rodzących owoce i zboże, o kraju Daurów, gdzie władzę sprawuje książę Laukaj, a wody strumieni wynywają mu ze skał srebro i złoto. Żąda bogactw, chciwość silniejsza potem okazywały się niż strach i świadomość trudów, które czekają na drodze do amurskiego „Eldorado”. Coraz nowe tratwy zbijano nad rzekami, aby spłynąć nimi ku legendarnym krainom. W syberyjskich kronikach zapisywano nazwiska śmiałków. I pozostawała po nich tylko ta drobna notatka — ciała obskubywał sęp na przełęczach gór.

Dzisiaj z Moskwy do Chabarowska nad brzegi Amuru jedzie się pośpiesznym pociągiem 7 dni i 7 nocy. Samolot motorowy odbywa tę trasę w 36 godzin, a odrzutowy TU-104 w 12 godzin, choć leci na wysokości 9—12 tysięcy metrów z szybkością 800 km na godzinę. Między Moskwą i Chabarowskiem jest 7 godzin różnicy w czasie — po podróży długo jeszcze trudno ci się przyzwyczaić do nowych pór wschodu i zachodu słońca.

TU-104 — to „siedmiomilowe buty” Związku Radzieckiego. Po trzech godzinach lotu od Moskwy — samolot schodził do lądowania w Omsku. Po dalszych trzech godzinach zobaczył rozlewiska rzeki Angary.

W latach Nicefora Czernihowskiego — stąd właśnie, z grodów na Jeniseju i Lenie rozpoczynała się rosyjska inwazja na wschód. W pierwszej połowie XVII wieku — jak ładnie napisał Dubiecki *) — „trwał tam bój wielki, przeczony przez dziejopisów świata; zdobywano przestworza, wobec ogromu których znikają przestrzenie Europy”.

Warunki, w jakich odbywała się ta kolonizacja i w jakich toczyło się życie na tych ziemiach — były chy-

ba identyczne z warunkami kolonizacji Ameryki, Indii czy Afryki. „Smażyłem i pytałem” — odpowiadał odkrywca Amura, Chabarow**).

Historia nie lubi wdawać się w szczegóły; nie ma w niej miejsca na czułość. Zwycięzcy nie zagląda się — niestety — w

chociego Kozłowa — Ugreina na długo pozostawiały u ludzi w pamięci pod nazwą... psiej ospy. Niejaki Naryszkin, chrześny syn Katarzyny II — rządził Syberią, choć był zupełnym obłąkańcem. Na Wielkanoc zamiast jutrzni musiało w cerkwiach odprawiać zwykle nabożeństwa, stwo-

„W 1655 roku w górze rzeki Leny zimował ilmski wojewoda Obuchow, przygotowujący dla Jakucka karawanę barek z państwowymi i własnymi towarami. W Ust-Kutsku spodobała mu się żona nadzorca warzelni soli, Nicefora Czernihowskiego. „Odbił” mu ją, za co Czernihowski zorganizował

miał gwałt na swym sumieniu — nagle poczuło się obrońcami ezi niewieściej i zdecydowało się zabić wojewodę, co pachniało torturami i śmiercią...

Nawet Dubieckiemu coś w tym względzie wydaje się podejrzane. Utrata czci niewieściej, porwanie siostry czy żony — pisze Dubiecki —

Zabójstwo dokonane przez Czernihowskiego na Obuchowie miało charakter społeczny, polityczny, było uwolnieniem kraju od miejscowego „tyrana”. Czyż inaczej można rozumieć fakt, że mnich Hermogenes, przełożony kireńskiego klasztoru Zbawiciela przyłączył się potem do grupy Czernihowskiego i wraz z nią wyruszył nad „Czarną Rzekę”? Ze odjeżdżających nad Amur mnisi kireńscy odprawili ze swym błogosławieństwem, wręczając im na drogę pamiątkowy obraz Chrystusa?

Był to bowiem exodus ludzi, którzy dość mieli tyrani miejscowych kacyków i zapragnęli podążyć w ziemie wolne, ziemie niezje, ziemie, na których nie musieli nikomu podlegać.

* * *

Na dworcu lotniczym w Chabarowsku czekał już na mnie pisarz Andriej Priszwin, znany polskiemu czytelnikowi z książki „Na brzegach Zeli”. Wiózł mnie swym prywatnym samochodem do hotelu i na chwilę przystanął na dużym placu, gdzie stał ogromny posąg Chabarowa. Jerofiej Pawłowicz, ubrany w swą

ZBIGNIEW NIENACKI NA TROPIE tajemniczego ALBAZINA



rejestr popełnionych przez niego zabójstw i okrucieństw. Na krwawym przecieście szlaku Jerofieja Pawłowicza Chabarowa stoją dziś miasteczka nazwane jego imieniem: „Jerofiej Pawłowicz”, największe miasto na Dalekim Wschodzie nazywa się „Chabarowsk”.

Stąd było naprawdę „daleko od Moskwy”. Tu oka-

rzył jakieś swoje własne nowe święto, kazał ludziom żałować za grzechy i sam udzielał lub nie udzielał „rozgrzeszenia”. Bez końca można by wylizywać wybrki carskich urzędników. Zabójstwo wojewody Wawrzyńca Obuchowa dokonane przez Polaka Nicefora Czernihowskiego, stanowi naprawdę niewielki epizod w

grupę kozaków i ludzi wolnych” itd. itd.

Oczywiście, najlepiej zajrzeć do najstarszych źródeł. Niestety, stara „hramota” z 1680 roku opowiada o Czernihowskim:

„...Pochodzi on z Ust-Kireńskiej okolicy, wojewodę Ławrentiewa Obuchowa zabił, za okropne swoje cier-

„co ówczesny świat ku zachodowi leżący mienią sromotą, co go oburzało i przejmowało zgrozą, stawało się niezrozumiałą zagadką dla tamtoczesnych gromad osadniczych”. „Kiedy przodujące nawet warstwy społeczne prowadziły targ niewiastami”. I „wyjaśnia” Dubiecki: Czernihowski był Polakiem, więc inaczej nie mógł



Czarne, niespokojne wody Amuru

Fot. Andriej Priszwin

zywał się silny i mógł dochozić swoich praw tylko ten, kto krzepko trzymał w ręku broń i miał uzbrojonych przyjaciół. W archiwach rosyjskich pozostały całe tomy akt, które są jedną wielką skargą na okrucieństwo, bezprawie i zdręstwo dokonywane przez wysłanych tu urzędników carskich. Na sam dźwięk nazwisk takich jak Treskin, Łoskutow — drżała cała Syberia. Działy się tam rzeczy tak straszne, że caryca Katarzyna nałożyła pokutę (epitemię) na sybiraków, uznając ich za „bandę młataczów, potwarców i pieniaczy”. „Lud jęczał pod uciskiem niesprawiedliwości, ale owe jęki tłumila ta sama przemoc, która je wywolała” — pisali rosyjscy historycy.

Objazdy komendanta O-

tym okrutnym, krwawym życiu.

* * *

Opowiada S. Maksimow w książce „Sybir i katorgia”:

„W r. 1665 do warowni w Ust-Kutsku zdołał pomyślnie dotrzeć wojewoda ilmski, Obuchow. Odpoczął, rozjeżdżał się i spostrzegł ładną żonę dozorca Czernihowskiego. Była tak ponętna, że długo się nie namyślał. Równać swoje prawa z prawami wygnanece uważał za grzech i wielkie wykroczenie. Zabrał tedy żonę Czernihowskiego i skończył sprawę nad Leną popłynął z piękną Polką** w górę Kutły do Ilmska”.

Trochę inaczej twierdzi znawca historii okolic amurskich, Nowikow-Daur-

skie, bo on Ławrentiej przyjechałszy do nich w Ust-Kireńską okolicę, żony ich gwałcił i życia ich pozabawiał...”

Kireńsk czy Ust-Kutsk? A tu jeszcze Ust-Kireńsk, którego zresztą nie ma na mapie, czyli, że może to dotyczyć i Ust-Kutka i Kireńska.

Najbardziej interesująca jest jednak inna kwestia.

Gwałt, porwanie kobiety — były to dla tamtejszych ludzi sprawy zwykłe, nieodłączne od ich surowego, awanturczego życia. Maksimow pisze, że „Chabarow, ostawiony w tym względzie, nie robił żadnych ceremonii, zabierał cudze żony, nikogo o to nie pytając”. A jednak w tym akurat przypadku 84 ludzi, obywateli różnego autoramentu — z których zapewne niejed-

postąpić, stał na straży czci niewieściej, bo „u kolebki Nicefora Czernihowskiego stała znać matka rodu obcego północnym obszarem Azji”.

Nie jest to wyjaśnienie godne szacownego historyka. Dubiecki zbyt ochoczo godzi się idealizować postać Nicefora.

Tymczasem jest sprawa raczej oczywista, że porwanie żony Czernihowskiego było tylko pretekstem, kroplą oliwy do ognia nienawiści, jaką darzono Obuchowa. A poza tym — Obuchow miał dużo przeróżnych towarów. Jak delikatnie nadmieniają rosyjscy historycy — „Czernihowski i jego ludzie grabowali majątek Obuchowa nie zdając sobie sprawy, co było państwową, a co własnością Obuchowa”,

kozacką czapę i burkę, patrzył na mnie zimno i niechętnie z wysokości swego postumentu.

— Och, gdybyż on wiedział, że chcecie mu odebrać któryś z jego wawrzyńskich listków sławy i oddać Czernihowskiemu — zaśmiał się Priszwin.

Pojechaliśmy autem przez piękne nowoczesne miasto (rozciąga się nad brzegiem rzeki na przestrzeni około

(Ciąg dalszy na str. 9)

*) Dubiecki „Obrazy i studia historyczne”

**) „Uzupełnienie do aktów historycznych”

***) Skąd Maksimow wiedział, że żona Czernihowskiego była Polką pozostaje li jego prywatną tajemnicą. W dokumentach nic o tym nie ma.

Przeczytaj! koniecznie! Drukujemy dopiero początkowe odcinki. Ta sensacyjna opowieść poprowadzi Cię szlakiem Pułku Ułanów Karpackich od El Alamein do Monte Cassino!

EDWARD-EMSKI

Pustynne szczyry



— O, patrz, płynie Piotr, Piotr, chodź do nas, napij się z nami i pomóż nam. Ty musisz przecież wiedzieć. Czy w Benghazie są obozy jeńców?

— W Benghazie? A cóż wy macie wspólnego z obozami jeńców? Czy dostaliście przydział do Czerwonego Krzyża?

— Nie rób z siebie idioty. Ach, prawda, ty pewnie nie wiesz nic o naszym wspaniałym pomysle. Wszystko już jest obmyślane, przygotowane i zatwierdzone. Wyobraź sobie...

Barman starannie przygotowywał coctails „rain-bow”. Nalewał do kieliszków likiery, warstwa na warstwie, kolor na kolor. Zajęcie to zdawało się całkowicie pochłaniać jego uwagę. Z rozmowy a następnie ożywionej dyskusji, trzech młodych oficerów oddalonych od niego o nie więcej niż dwa metry nie uronił jednak ani jednego słowa. Grupa przy barze powiększyła się o dwóch lotników z towarzyszkami, następnie o jakiegoś pana w ubraniu cywilnym. Nadal trwała ożywiona dyskusja. W pewnej chwili jeden z oficerów wylał na kontuar zawartość jednego z kieliszków i zaczął palcem rysować jakieś linie, widoczne przez chwilę i rozplywające się prawie natychmiast. Barman był teraz zajęty robieniem rachunków, ale każdy ruch palca śledził z nadzwyczajną uwagą. Kiedy, późno w nocy, rozbawione towarzystwo wreszcie opuściło bar, i on zaczął się przygotowywać do wyjścia. Umył kieliszki, wytarł je starannie i ustawił długim lśniącym rzędem. Następnie przebrał się. Już miał wychodzić, kiedy uwagę jego zwróciła przerwa w rzędzie kieliszków, jaką podświadomie zrobił przy ustawianiu. Przeliczył wzrokiem kieliszki od lewej strony do przerwy — było ich trzynaście.

— I takim głupstwem mogę się zdradzić — pomyślał. Zsunął kieliszki starannie, wyrównał, zgasił światło i wyszedł.

— Tyle razy mówiłem: pod żadnym pozorem do mnie do domu. Czy pan nie rozumie, na co pan naraża i siebie i mnie? I do tego o tej porze. Przecież Kair roi się od agentów Intelligence Service, a pan jest szczególnie eksponowany — barman u Shepherds'at

— Rozumiem aż za dobrze. Ale wiadomości są zbyt ważne, by można było czekać do jutra. Dlatego musiałem zaryzykować. W razie czego — zgubił pan w barze portfel, ja go znalazłem, w środku był adres, więc po skończeniu służby odwiezłem go panu do domu — było w nim dużo pieniędzy, liczyłem na nagrodę.

— Więc co to za wiadomości?

— Anglicy przygotowują wypad na Benghazie w siłę około 200 ludzi. Mają zamiar opanować port, miasto, składnice uzbrojenia, uwolnić 18.000 jeńców, uzbroidź ich w zdobyczą broń i trzymać się do czasu, aż ich marynarka przetrze oddziały z Malty.

— Ależ w Benghazie nie ma obozów jeńców!

— Tego nie wiem. Powtarzam, co słyszałem. Dyskutowali zresztą i o tym. Mają zamiar sprowadzić jeńców z obozów na południe od Benghazii.

— A kiedy planują ten wypad?

— Trzy... trzy razy mieli datę, jak to się mówi, na końcu języka, ale nie wymienili dokładnie. Z całej rozmowy wynikało jednak, że w najbliższej przyszłości. Może dowiem się jeszcze szczegółów. Mam taki nowy trunek, który wyraźnie skłania do chwaleń się, sprecparował mi go lekarz, który bierze ode mnie kokainę. Już go wypróbowałem, działa nadzwyczajnie.

— Miał pan rację, że pan przyjechał. To ważne wiadomości. Zaraz przekażę je przez radio. Ale na przyszłość proszę jeszcze raz kategorycznie — w żadnym razie nie przyjeżdżać do mnie. Gdyby się pan dowiedział daty, może ją pan przekazać telefonicznie.

— Dobrze.

Datę — pomyślał — dostaniecie, ale od kogoś innego, za dodatkową opłatą.

Dżebel Akhdar — „Zielony Łańcuch Górski” — biegnie równoległe do wybrzeża Morza Śródziemnego, od Benghazii po Darnę. Stoki północne pokryte są wiecznie zielonymi dębami, od których łańcuch bierze swoją nazwę. Im dalej na południe, tym drzewa stają się rzadsze, karłowacieją, ustępują miejsca krzakom, coraz to mniejszym, rosnącym już tylko wzdłuż wadi — suchych łóżysk potoków. Dalej jest pustynia.

Na wybrzeżu leżą miasta, są osady kolonistów włoskich. Dalej na południe panami Dżebelii są szczyty Arabów — nomadów, przenoszących swe namioty od studni do studni, w wiecznej wędrowce za pasącymi się stadami. Można ich czasami spotkać na szlaku karawanowym prowadzącym przez Dżalę do oazy Kufra. Poza tym jednak nie zapuszczają się w te nieogóścenne obszary, gdzie ich stada nie znalazłyby ani paszy, ani wody.

Nad obszarami tymi panuje Grupa Pustynna Dalekiego Zasięgu — Long Range Desert Group — L.R.D.G. W odznace swojej mają stylizowanego skorpiona. Skorpion jest mały. Rzadko kiedy większy od wskazującego palca ręki. Ukłucie jego czasem bywa śmiertelne. Zawsze jednak jest niebezpieczne i bardzo dotkliwe. El-Ar-Di-Dzi działa małymi patrolami. Po pięć półtonowych samochodów, każdy z pięciuosobową załogą. Razem 25 ludzi. Zadają jednak nieprzyjacielowi dotkliwe ciosy. Zjawiają się niespodziewanie, nagle, nie wiadomo skąd. Uderzają. I nikną w bezkresnej pustyni, nie wiadomo gdzie.

To są wykonywane przez nich zadania specjalne. Na co dzień wykonują zadania „normalne”, nadzwyczaj regularnie i punktualnie. Patrole L.R.D.G. prowadzą dalekie rozpoznania, wykonują pomiary geodezyjne. Docierają w głąb Trypolitanii. Docierają aż do jeziora Czad. Pracują jak najlepsza linia komunikacyjna w czasie pokoju. Nie istnieją dla nich przeszkody terenowe. Po-

jazdy ich nie psują się nigdy. Jeżeli tracą wóz, to tylko w wyniku starcia z nieprzyjacielem. Jeśli nie stawia się na umówione spotkanie, to tylko z tego powodu.

Jeśli ktoś chce się dostać do Cyrenajki, na tyły nieprzyjaciela, zamawia miejsce w „linii autobusowej” L.R.D.G. Może być pewien, że zostanie dowieziony do miejsca przeznaczenia i zabrany z powrotem w umówionym miejscu i czasie.

Brodacze z L.R.D.G. (noszą brody, bo na pustyni woda jest cenna!) — to bractwo swobodne, wesołe, bez troski. Ale w potrzebie nie znają zmęczenia, a bez troski kończą się tam, gdzie zaczyna się obowiązek. To ludzie świetnie wyszkoleni, specjaliści od „spraw pustynnych”. To ludzie, którzy ulegli swojemu czarowi pustyni.

Grupa Pustynna Dalekiego Zasięgu składa się z czterech szwadronów: najlepszy jest szwadron nowozelandzki, po nim — rodezyjski. Dalej — szwadron złożony z żołnierzy angielskiej „Yeomanry” i wreszcie szwadron składający się z żołnierzy angielskich pułków gwardii.

Szwadrony dzielą się na patrole — po pięć samochodów. Każdy patrol wyposażony jest w radiostację i w czasie działań co dzień nawiązuje łączność z dowództwem.

Patrole działają przeważnie samodzielnie. Całość szwadronu rzadko występuje razem. Często natomiast działają związkami w składzie kilku patroli z różnych szwadronów.

Twórcą L.R.D.G. jest pułkownik Bagnold, człowiek skromny, typ naukowca. Przystąpił do organizowania grupy z początkiem wojny. Pomagali mu Prendergast, Shaw i Clayton — starzy, wypróbowani towarzysze jego wypraw w głąb pustyni jeszcze w latach trzydziestych. Wówczas to wypracowali uproszczone metody nawigacji pustynnej. Zapuszcili się na Fordach w Libijskie Morze Płaskowe. Dotarli do Dżebel Oweinat, na południe od Gilf el Kebir — tam, gdzie stykają się granice Egiptu, Sudanu i Cyrenajki. Przemierzili wielokrotnie Pustynię Zachodnią. Teraz przekazywali swoje doświadczenia innym.

Pułkownik Bagnold wynalazł busole słoneczną. Wprowadził uproszczoną metodę obserwacji astronomicznych ułatwiającą znakomicie nawigację pustynną. Samochody jego grupy, odpowiednio przebudowane i ulepszone, mogły przy pomocy podkładów stałowych — również jego pomysłu — przebyć wszystkie napotymane w pustyni przeszkody. Obmyślił specjalny kondensator, zmniejszający wydatnie zużycie wody chłodzącej silnik samochodu, co znacznie zwiększyło zasięg wozów grupy.

Pułkownik Bagnold dokonał czegoś więcej. Sciągnął do swojej grupy najlepszych ludzi armii brytyjskiej i potrafił natchnąć ich swoim entuzjazmem.

d. c. n.

NA TROPIE tajemniczego AŁBAZINA

DOKONCZENIE ze str. 8

30 km) aż do brzegu Amuru. Tego dnia Amur był gniewny — wielkie jak na morzu bałwany biły o wysoki brzeg; jego czarne wody pokrywały się białymi płatami piany.

Czy rzeczywiście chciałem odebrać Chabarowowi listek z jego wawrzynowego wieńca sławy? Jerofiej Chabarow był podróżnikiem, był wielkim odkrywcą i, zdobyczą tych ziem. Nicefor Czernihowski w prawie dziesięć lat po Chabarowie poszedł jego szlakiem. Wraz z grupą zbierców popłynął na łodziach w dół Leny, potem skręcił w Ołemie i popłynął w górę tej burzli-

wej, gwałtownej rzeki. Dalsza droga prowadziła rzeką Tungir, prawym dopływem Olekmy. Zimą przeszedł Góry Stanowe i zszedł z nich wzdłuż doliny rzeczki Ur aż do Amuru. Stąd po wodach Amuru było już niedaleko do Albazina.

Są to miejsca dobrze już znane z odkrywczych podróży Pojarkowa i Chabarowa. To w Albazinie Pojarkow pił wodę amurską ze srebrnego kozackiego kubka; Chabarow zbudował w Albazinie drewnianą twierdzę. Lecz potem nadeszły tu pułki Mandżurów, starzy wszelki ślad po Rosjanach, spalili Albazin. Zdawało

się, że nigdy już noga rosyjska nie stąpiła na tej spustoszonej ziemi. I nagle, ni stąd ni zowąd, na gruzach Albazina zjawia się nowa grupa przybyłych z Syberii. Tym razem prowadził ją Polak Czernihowski. Zbudowali nową twierdzę, zaczęli orać pola.

Chabarow odkrył i opisał te ziemie, ale Czernihowski zapuścił w niej korzenie. Nie tylko miecz Chabarowa, ale i pług Czernihowskiego zdobył dla Rosji okolice Amuru.

Tak zresztą oceniają te sprawy współcześni historycy rosyjscy. W ciekawej pracy Akademii Nauk

ZSRR, „Narody Syberii” (1956 r.) przeczytać można na stronie 123:

„... W rezultacie wypraw Jerofieja Chabarowa i Nicefora Czernihowskiego we władanie Rosyjskiego Państwa weszło Przymurze i zbudowano dwudziesty syberyjski gród — Albazin”.

Teraz więc czekał mnie ostatni etap podróży. Do Albazina,

d. c. n.

ZBIGNIEW NIENACKI

odgłosy 9



Mówi się wiele na Zachodzie o dziwnym paradoksie epoki: niebywałem rozwojowi nauk towarzyszy niechęć do nauki. Niechęć o podwójnym znaczeniu.

Pojawiają się więc głosy, które streścić by można w powiedzeniu: Po cóż to wszystko? Czy ludzie są bardziej szczęśliwi?

Pomijmy jednak tego rodzaju melancholijne refleksje, jako że prowadziłyby wprost do filozoficznych rozważań. Co ciekawsze bowiem, daje się zaobserwować również niechęć do nauki w bardziej praktycznym wymiarze i znaczeniu. W takich przodujących w postępie naukowym i technicznym krajach, jak USA i Republika Federalna młodzież stroni od wykształcenia. Po prostu brak często kandydatów na wyższe uczelnie. Socjologowie, którzy zajęli się w ostatnich latach tą palącą kwestią, doszukali się interesujących przyczyn takiego stanu rzeczy. Tkwią one głównie w uprzywilejowanej pozycji, jaką zdobył sobie wykwalifikowany robotnik w społeczeństwach zachodnich; dobry fachowiec o wąskiej specjalizacji i rzemieślniczej pozycji jest najbardziej poszukiwaną i najlepiej opłacaną osobistością.

U nas mówi się często, że wyższe wykształcenie często „nie popłaca” i że są to błędy w siatce uposażeń. A może to raczej ogólna tendencja, wymóg współczesnego przemysłu?

Najbardziej charakterystyczna jest jednak inna teza zachodnio-niemieckich socjologów: niechęć do wykształcenia wynika również z rozwoju demokracji obyczajowej. Po prostu odpadają bodźce ambicjonalne, które pechały dawniej na uniwersytety tłumy przypadkowych często ludzi. Pozycja społeczna w coraz mniejszym stopniu uzależniona jest od wykształcenia; decyduje raczej styl życia, a więc — docho- dy. Chodzi więc o jakąś amerykanizację europejskich obyczajów, szerególnie widoczną w Niemiec-kiej Republice Federalnej. „Biedny, ale uczony” — nie budzi już więcej tradycyjnego szacunku, lecz raczej politowanie dla „frajera”.

Mamy więc jeszcze jeden paradoks: zacofanie naszej obyczajowości, pokutująca pogarda dla pracy fizycz-

Bazar



Moda chowania krokodyli przyjęła w Calrus (Australia) tak szerokie kregi, iż magistrat wydał zarządzenie, zabraniające posiadania zwierząt osobom, które nie wykpiły specjalnej licencji.

W celu ulepszenia systemu łączności, policja górską w Tyrolu zakupuje gołębie pocztowe. Okazało się bowiem, że krótkofalówki zawodzą w wysokich górach.

W Namur (Francja) dwaj listonosze zostali skazani przez sąd za to, że niszczyli listy, adresowane do ich przyjaciół, jeżeli pochodziły od mężczyzn.

KLASYFIKACJA

Zbieracze autografów sławnych ludzi mają swoją giełdę w Londynie. Gdy chodzi o autografy Polaków najdroższy jest podpis... Ks. Józefa Poniatowskiego. Niezwykle modne jest bowiem posiadanie zbioru podpisów marszałków Napoleona, wśród których autograf Poniatowskiego należy do najrzadszych. Drugie miejsce zajmuje zdecydowanie Chopin (150 funtów), zaś reszta właściwie się nie liczy.



Całkiem serio

„Poszukuję dżentelmenów, urodzonych w roku 1913, którzy wraz z moim ojcem uczyli się w szkole miejskiej nr 5. Pragnę dowiedzieć się wreszcie, czy dżentel był rzeczywiście tak dobrym uczniem, jak zwykły mi opowiadać”. Ogłoszenie to ukazało się w londyńskim dzienniku „Ewening Standard”.



nej, bardzo tradycyjnie traktowana drabina społeczna — wszystko to ma niespodziewany skutek w postaci niezmiernych tłumów, szturmujących wrota wyższych uczelni. Czy jednak tego typu bodźce nie odbijają się potem na poziomie i ambicjach młodej inteligencji? Można by coś powiedzieć o tym...



Obsesjoniste

NAJMODNIEJSZA MUSZKA NA NAJBLIŻSZY KARNAWAL



Mieszani

Tygodnik Lit.-Społeczny pod redakcją Jana Huszczy

Sprzedam wiatrówkę

Kiedyś kupiłem wiatrówkę w „Galuxie”. Była bodajże z popieliny i nawet dosyć długo mi służyła, lojalnie i bez kapryśków.

Ala latem 1957 kupiłem w sklepie sportowym inną wiatrówkę — taką, co to za naciśnięciem języczka spustowego robi niewinne pif-paf! Kosztowała 500 zł i stanowiła dla mnie źródło przyjemności sportowej. Ani mi przez głowę wtedy nie przeszło, że niewinna przyjemność sportowa bardzo predko zmieni swoje oblicze.

Patrzę od dłuższego czasu na stojącą w kącie pokoju wiatrówkę nieomal z nienawiścią. Czasem opuszczam pokój i wódcę się po mnieście, żeby jak najdłużej nie widzieć przeklętej wiatrówki. Rzecz jasna, iż od dawna z niej nie korzystam!

Ala zacznijmy tę tragiczną opowieść od początku!

Latem ub. r. przypadkiem dowiedziałem się, iż było wezwanie w prasie, żeby każdy posiadacz wiatrówki uzyskał na nią formalne zezwolenie. Nic wtedy dziwnego, że — zaniepokojony — udałem się przed końcem lipca do Komendy MO miasta Łodzi, gdzie w biurze przepustek udzielono mi przez telefon wyczerpującej informacji, iż należy złożyć odpowiednio podane, zaopatrzone w życiorys, dwie fotografie i znaczki stemplowe za 10 zł.

Wysłałem odpowiednie podanie wraz z załącznikami i z pełnym

zauwaniem czekałem na rezultat, urozmaicając sobie to czekanie pracą, rozrywkami oraz rozmyślaniami na różne dozwolone tematy, gdyż tylko takie rozmyślania na ogół mnie absorbują.

I oto 2. XII. przynosi listonosz radosną wiadomość urzędową, iż „podanie Obywatela w sprawie wydania pozwolenia na wiatrówkę zostało załatwione pozytywnie”.

Ucieszyłem się, jak człowiek, który po dziesięciu latach wagiwego uczestniczenia w losowaniach loterii państwowej po raz pierwszy wygrał stawkę. Radość moja trwała jednak krótko, gdyż — wczytując się w dalszy ciąg zaawdomienia — dowiedziałem się, że jeszcze tego samego dnia muszę zgłosić się po odbiór tego zezwolenia. A ja tego dnia akurat nie byłem przygotowany i nie mogłem się zgłosić!

Radość moja zamieniła się w smutek, gdyż — jeszcze uważnie wczytując się w zaawdomienie — dowiedziałem się, że przy zgłoszeniu powinienem posiadać dowód osobisty wraz z biletem Nar. Banku Polskiego na sumę 100 zł, który jest potrzebny dla nabycia po raz drugi znaczków stemplowych.

Dowód osobisty posiadam, nie byłem jednak wcale przygotowany na to, że do wiatrówki mam jeszcze dopłacić 100 zł.

Na razie nie zgłosiłem się po zezwolenie, albowiem dręczą mnie dwa pytania:

a) jak można z powodu mojej niedźnej wiatrówki aż tak wiele zabierać czasu poważnym ludziom z Komendy MO, którzy mają na pewno znacznie donioślejsze sprawy w zakresie swoich naprawdę niekiedy, trudnych obowiązków?!



b) czy te znaczki stemplowe to nie jest jeszcze jeden skromny przykład na jeszcze jedną odmianę zjawiska „ukrytej podwyżki cen”, do walki z którą wszyscy świadomi obywatele zupełnie mianorodajnie są zobowiązani?!

Ponieważ na razie nie umiem znaleźć roztropnej odpowiedzi na te dwa pytania, przeto wolę sprzedać wiatrówkę.

Proszę więc Was, Czytelnicy, abyście niniejszą smutną opowieść o wiatrówce potraktowali jako ogłoszenie, proponujące Wam karabinek w dobrym stanie, narzędzie beztrudnej rozrywki sportowej, po cenie kosztów własnych!

PS. Gdzieniegdzie upoczywie rozpowszechniane wiadomości o mającej wkrótce nastąpić akcji zbierania opłat stemplowych od przyborów do golenia są podobno znacznie przesadzone!

PRZEGLĄD PRASY

„Tygodnik mód i powieści” z 1888 roku wśród bogatych materiałów przynosi m. in. informację, poświęconą Watykanowi:

„Watykan zawiera 11.500 pokoiów. Dwór papieski składa się z 20 kamerdynerów wyższego stopnia (majordomus), 120 prałatów domowych, 170 tajnych podkomorzonych, 6 podkomorzonych, 30 oficerów gwardii szlacheckiej, 60 gwardzistów, 130 nadliczbowych podkomorzonych, 200 nadliczbowych honorowych podkomorzonych, 14 oficerów szwajcarskich gwardii pałacowej, 7 honorowych kapelanów, 20 tajnych pisarzy, 10 intendentów i stalmajstrów, 50 lokajów itd., ogółem 1.160 osób. Dodać należy Święte Kolegium i prałatów”.

NASZ ODCINEK POWIEŚCIOWY:

TRAGICZNA ŚMIERĆ RODZINY PIJAKA

czwli
za winy
nie popełnione

Pił wciąż bez miary, na nic nie zważał,
Ze żoną z dzieckiem głoduje,
Jeszcze jej biczem często wygrażał
I straszył, że ją otruje...



C.D.N

KALIKST ŁASICZKA FRASZKI

(ze spuścizny poetyckiej)

JESIEŃ BÓLEM...

Jesień bólem w polu wyje,
drzewa z liści ogalaca.
Mój codziennie uszy, szyję...
Jaka płaca, taka praca.

JEST TRAGICZNA...

Jest tragiczna jakaś nuta
w przemianach wszystkich ludzi.
Więc, ministrze, twoja buta
tylko litość we mnie budzi!

MIŁOŚĆ SZTUKA TO...

Miłość sztuka to nielatawa.
Kaźda róża ma swe ciernie,
Czasem wszystko tak się gmatwa,
że wygląda człek mizernie.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Do dziś pamiętam to rozstanie:
sukienkę miałaś flanelową,
a ja kraciaste me ubranie...
Milczenie było naszą mową!



Nie wymięją twój łysiny,
Czytelniku, „Mieszani”!

ZA
ZY

Mieszanka FILMOWA

TEASE



INTERPRETACJI
INCOISE FABRICE



Placz nad ubogą krewniaczką

Fotosista nie tworzy historii filmu. Efekty jego pracy — choćby znakomite nawet — przeznaczone są do natychmiastowej konsumpcji, służą sprawom reklamy. Sprytny fotosista może nawet olgać przyszłego odbiorcę, zareprezentować mu smakowity kasek, którego nie ujrzyś potem na ekranie. Uboga i staromodna krewniaczka X Muzy — Melpomena, w niepomierne gorzej jest sytuacji. Gdy mętnych nieraz wywodów recenzenta nie uzupełnią znakomite, wyraziste i wierne zdjęcia — trud aktora, scenografa a już inscenizatora przede wszystkim, umiera w czasie, rozplywa się w nicotności. Z przerażeniem i smutkiem spoglądając na fotograficzne knoty, daremnie usiłujemy wywołać w pamięci obraz spektaklu — nie za wiele na tych zdjęciach widać, a już zupełnie nie z nich nie wynika.

Upadek polskiej fotografii teatralnej jest powszechnie znanym faktem, a już radosna twórczość zjeżdżających do Łodzi z okolicznych miast i miasteczek fotografów, niekiedy budzi aż zażenowanie. Sprawa jest tym żałośniejsza, że wszystko to dzieje się bądź co bądź w stolicy polskiego filmu, w mieście takich starej daty mistrzów fotografii teatralnej, jak Malarski czy Brzozowski, gdzie jeszcze przed kilkunastu laty solidne zdjęcia robił Henryk Smigacz.

Wszyscy ci ludzie zamilkli z przyczyn im chyba tylko wiadomych, następców — czy jak kto woli — zastępców jakoś nie widać, obok gablot teatralnych przechodzą czasami aż straszno... Placzymy nad ubogą krewniaczką. Placzymy z całego serca — lzy rzadko kiedy pomagają wprowadzić, ale za to dają ukojenie. (P)

„Trzech takich, jak nas dwóch”, albo paradoks sztuki notowanej mechanicznie. Paradoks kina, paradoks taśmy filmowej. Na ekranie miły, starszy pan: Sacha Guitry, niedawno zmarły „człowiek o dużym nazwisku”.

W tym filmie Sacha Guitry, reżyser, pojawia się dwa razy: tuż po czołówce, gdy przedstawia nam swój film, wyzyskując pretekst rozmowy z nie pokazanym przyjacielem, i w finale przedsięwzięcia, gdy komentuje to, co widzieliśmy na ekranie. Występ reżysera tworzy więc coś, co przypomina ramę, zamykającą film pewnym stylistycznym ornamentem. Chyba nawet nienajbardziej potrzebnym, bo jest to obraz i tak dobrze skonstruowany pod względem kompozycyjnym; zresztą co tu ukrywać — „Trzech takich itd.” — to w ogóle film zręczny, zrobiony inteligentnie i pomysłowo. Pewne ograne sytuacje i rekwizyty — otaczają tę zręczność zasłoną dymną. Nie powinna ona nikogo zmylić.

A. J. PIOTROWSKI Trzech takich...

Ograne sytuacje — to przede wszystkim ta zasadnicza... Jest ten film jeszcze jedną paradą pomysłów opartych o zjawisko sobowótwa. Tym razem potrójnego. Ale tutaj to ludzkie podobieństwo trzech młodych mężczyzn nie służy jedynie sprawom o charakterze komediowym. „Trzech takich jak nas dwóch” — to bynajmniej nie komedia. W sumie jest to film raczej smutny, a że co chwila stwarza on powód do śmiechu, nawet w momentach tragicznych, to już zupełnie inna sprawa.

Jeśli ktoś pada na ekranie trupem, to trudno mówić o śmiechu, prawda? A jednak w filmie Sachy Guitry właśnie pada trup i... trudno zachować powagę, choć jest to śmierć naprawdę tragiczną, choć poznaliśmy już żonę zabitego i jego sprawy domowe, choć więc zachowane zostały wszystkie zasady, mające decydować o rodzaju przeżycia. Zostaje zabity aktor. To jeszcze sprawa normalna. Ale co za szatański pomysł scenarzystów! Aktor ten zostaje napadnięty i zabity w chwili, gdy występuje przed kamerą filmową! Ka-

mery nie widać, bo jest ukryta w pierwszym bodajże piętrze paryskiej kamieniczki. Aktor idzie ulicą sam. Naprzeciw niego idzie młody chłopak, który obiecał komuś zabić człowieka. Widzi samotnego przechodnia, prosi go o ogień... W pewnej chwili wyciąga nóż... Zabija aktora! Co za pech... To wszystko zostaje drobiazgowo zanotowane przez kamerę filmową. Mogłoby się wydawać, że policja będzie miała nader łatwą sprawę. Wystarczy tylko znaleźć człowieka, którego widać na filmowej fotografii. Wystarczy? Otóż właśnie... Ilu jest takich ludzi?

Więcej nie zdradzę. Pozbawianie przyszłych widzów filmu Sachy Guitry momentów niespodzianki, miałyby się z celem niniejszych uwag.

„Trzej tacy jak nas dwóch” — to film niecodzienny zarówno z racji dowcipu, jako też sposobu rozwiązania zarówno komicznych, jak również częstych lirycznych sytuacji. Są w tym filmie sceny nasycone dużą klasą ironii. Ironia wieloznaczna. Ironia o — zdawałoby się — przesłankach z lektury filozoficznych. Jak w tym momencie — gdy reżyser odwiedza żonę tragicznie zmarłego. Aktor leży na przystrojonym łożu. Ubrany jest w mundur generałski.

— Czy był generałem? — pyta reżyser.

— Nie — odpowiada żona aktora. — Ale jego największa rola, to rola generała.

Nagle reżyser dostrzega, że twarz aktora wykrzywiona jest w jego charakterystycznym wyrazie, w tym „sposobie” którym posługiwał się przed kamerą... Aktor wygląda jak żywy...

— Co to? — dziwi się reżyser.

— To ja zrobiłam — przyznaje się żona aktora. — Wystarczyło trochę cierpliwości...

Jest to moment niezwykle makabryczny, ale zarazem utrzymany w kategoriach dowcipu wysokiej klasy. Na takie ryzyko mogą sobie pozwalać jedynie znakomici twórcy. Bo to wielka sztuka zrobić dobry film, gdy używa się założeń z pogranicza banału, wygrać sytuacje komediowe chociaż padają trupy, a wreszcie znaleźć dowcip trochę abstrakcyjny a trochę nadrealistyczny w najbardziej nawet makabrycznej grotesce. Ta sztuka udała się Sachy Guitry...

„Trzej tacy jak nas dwóch” to film dodatkowo interesujący z racji starannej obsady aktorskiej, ciekawej muzyki (szczególnie w partiach finału), a wreszcie film o dobrych zdjęciach. Jest to jeden z tych filmów, które z przyjemnością oglądamy na ekranie. Oglądamy i... prosimy o więcej.

WY:



KA

AGICZNA...

kaś nuta
wszystkich ludzi.
twoja buta
nie budzi!

TUKA TO...

nielatwa.
we ciernie.
tak się gmatwa,
mizernie.

MIŁOŚĆ

a to rozstanie:
flanelową,
e ubranie...
iszczą mową!

i tylko okolicz-
ola, w jednym z
rów „Mieszaniec”
y artykuł z cy-
czka — człowiek

WARD ETLER OJ AUTONEKROLOG

Wszystkiemu winien p. Krawczyk. Kto — pytają Łaskawi Czytelnicy. Spiewajcie: p. Krawczyk — to mój adwokat był w naszym Okienku Ludzi (zdradzam tajemnicę redakcyjną) atycznych. Zaraz potem*) ogłosił jed- to „Głosie Robotniczym” pismo w ca- owej poświęcone mej lekkomyślnej No cóż, potrafię ścierpieć traktowa- nie per Etlar z nader uprzejmym po- tem wszelkich stosownych w tym du tytułów (zastąpionych wiazanką dzież epitetów). Ba, nawet uwagi, sie bezpośrednio mego gustu, tak- tolaty wyprowadzić mnie z codzien- nowagi. Cóż by to było gdybyśmy nieli z p. Krawczykiem gust jedno- zia jakoś ustrzegła. Jej dzięki. W razie mógłbym z zimnej chęci napisać tutaj (a byłby to czyn ni- ni się np. nie podobają obraży p.

Krawczyka. (P. Krawczyk, pozwalam sobie domieść — jest Artystą Malarzem). Ale mi- jałoby się to z prawdą. Obrazy te były mi bowiem do niedawna najzupelniej obojęt- ne, a zresztą zaledwie kilka spośród nich udało mi się w życiu obaczyć. Ostatnio — notabene — w przededniu moskiewskiego sukcesu, szukałem ich na XIII Okręgowej Wystawie Plastyki. I co? Nic. Był tam tak straszny balagan, że ani jednego obrazu p. Krawczyka nie potrafiłem znaleźć. Dla- tego też, pełen gorzkości opisałem wystawę, angażując osobisty gust byłego sprawo- zdawcy. Chciał traf, że pełnił p. Krawczyk funkcję Komisarza owej XIII (nomen — omen?) Wystawy, a mój felieton na- pełnił jego serce pragnieniem rychłego zwy- cięstwa. Zasiadł tedy do pisania rzeczy we mnie wymierzonej a życzyłwi znajomi przy- nosili mi coraz to nowe relacje traktujące o postępie jego uporzecznej pracy. I nim je- szcze przyszła fatalna sobota, już — wstyd powiedzieć — bałem się okropnie.

Stało się. Pismo p. Krawczyka odkryło nicość mej duszy. Teraz już osobnik o imie- niu Edward a nazwisku Etlar, nie ma na tum świecie nic do powiedzenia. Został

pognębiony bez reszty, unicestwiony do- szcześnie i bez cienia litości. Gdzie się po- dziwały słodkie tajemnice mego prywatne- go „ja”? (Najuprzejmiej proszę o traktowa- nie słów powyższych jako autonekrologu, który dla pełniejszej satysfakcji p. Kraw- czyka własnoręcznie napisałem. Nie ma mnie i tyle. P. Komisarzowi powinno to wystarczyć).

Można także nie stosować się do przepi- su, który podany został przeze mnie w na- wiasie. Można bowiem traktować uwagi moje jako sen p. Krawczyka, sen, który za małą chwilę pozwolił sobie przerwać przy pomocy nicodzonego suplementu.

ZALATWIAM P. KRAWCZYKA.
P. Krawczyk wymienia nazwiska organi- zatorów XIII Wystawy, jakby miało to coś wspólnego z meritum omawianego proble- mu. A przecież faktem jest, że plótka w swojej znakomitej większości była fatalna, a na domiar złego jeszcze je nieodpowied- nio powieszono. Organizacja Wystawy na- sunęła mi nawet porównanie ze śmietni- kiem (P. Krawczyk tego taskawie nie cy- tuje). Zdarza się: można być znakomitym malarzem, a nie mieć zielonego pojęcia o

zasadach wystawnictwa. Analogicznie rzecz biorąc można dawać sobie radę z pe- dzłem, a z piórem nie bardzo i vice versa. Wracając jednak do Wystawy pozwolę so- bie przypomnieć, że krytyk współpracujący z „Odgłosami” określił ją jednym zdaniem, a gdzie indziej recenzje (taktownie?) w ogó- le się nie ukazały. Czyli mój osąd nie był znów tak bardzo odosobniony, prawda?

Niestety. P. Krawczyk ograniczył swoje pismo do poprowadzenia wywodu, którego sens z trudnością daje się pojąć. Jedynie fragmenty stanowiące moją charakterysty- kę odznaczają się życziłą komunikatyw- nością. Resztę zajmuje antologia tekstów niejakiemu Fredry. Dobór zdaje się stano- wić o guście i dowcipie Artysty.

Kończę. Moje wysiłki, mające na celu wy- dobycie z pisma P. Komisarza jakiegokol- wiek racjonalnego jądra, spełżyły (jak po- wiada przez radio Zbyszek Wojciechowski) na panewce. Jeśli więc P. Krawczyk spo- dziewał się, iż spowoduje dalszą polemikę, to niestety, zmuszony jestem Go załat- wić odmownie.

*) W sobotę, czyli 13 (I) grudnia br.

WYTNIJ - SCHOWAJ!

SENNIK
egipski

DALSZY
CIĄG

Chustka czarna — smutek. 13.
Chrypkę mięt — bogactwo w trzodzie. 88.
Chrzest — dobra nadzieja przyszłości. 4, 5, 80.

Ciało okryte ranami — niebezpieczeństwo. 86.
Ciało robić — radość i zysk. 46, 80.
Ciało rozczyniać — znalezienie pieniędzy. 33, 87.
Cieście otrzymane — pomysłowość. 25.
Ciele widzieć — radość. 17, 20.
Cień — troski. 60.
Ciężary nosić — ogromna praca. 15, 27.
Ciotka — zwady rodzinne. 77, 86.
Cmentarz widzieć — pomysłowość. 25.
Cud widzieć — przystęp szaleństwa. 2, 90.
Cudzołóstwo — hańba albo smutny wypadek. 11.
Córka mięt — ciągłe zmierzanie. 29.
Cudzoziemca widzieć — poniżenie. 25.

Trzy ogłoszenia Ameryki

Pierwsze, na samym szczycie strony amerykańskiego magazynu ilustrowanego głosi: „Kup sobie atlas anatomiczny! Poznasz sie-



Jak myślicie — jaka jest cena atlasu anatomicznego? Dwa, trzy dolary? O nie, mylicie się i to bardzo się mylicie! Cena książki obrazującej ciało ludzkie, jego kości, system nerwowy i krwionośny kosztuje tylko 65 dolarów.



bie, swoje ciało, wszystkie węzłowe punkty, które trzeba otaczać szczególną opieką. Kup atlas anatomiczny jeszcze dzisiaj!
Drugie ogłoszenie wyjaśnia, że nowy model wykrywacza min służy także do poszukiwania wszelkich metalowych i wykonanych z innych surowców rzeczy: kabli, lin itp. Szperacz minerski kosztuje bagatelkę — 48 dolarów i 85 centów.
Trzecie wreszcie ogłoszenie zaleca kupno automatycznego pistoletu „Best Values Company”. Za jedne 6,95 dolara.



HARVEC

Ten francuski rysownik nie ma zbyt wygórowanych ambicji; nie pragnie być odkrywcą nowych tematów dla żartu obrazkowego i nie bawi się w szukanie zawiłych i perfidnych skojarzeń. Wystarczy mu w zupełności temat stary jak ludzkość: on i ona. Trzeba jednak dodać, że temat ten Harvec eksploatuje w sposób rzetelny, ograne w zasadzie rekwiizyty potrafi wykorzystać naprawdę pomysłowo.
Do starej, komediowej perypetii pokłóconych małżeństw — Harvec wprowadza pewien wariant. Wprawdzie „ona” jest dość schematycznym, głupim zarozumiałym babsztylem, ze

wszystkimi rysami złośliwej „dziejymordy” — ale „on” bardzo wyraźnie odbiega od klasycznego wzorca. „On” — w niezłym nie przypomniał zastrachanego pantoflarza, potrafi nieraz ostro dobrać pulchną polowicę...
Zarty te, choć nie roszczą sobie wielkich pretensji — mogą jednak liczyć na popularność. I nie zbywa na popularności francuskiemu rysownikowi. Dowcipy jego, zamieszczane głównie w „France Dimanche” — są często przedrukowywane przez pisma włoskie, niemieckie, angielskie, a zwłaszcza belgijskie. Sporo przedruków Harveca zamieszcza także prasa polska.
J. W.



— Doskonale, ale co by mi pan poradził, gdyby to pał płacił rachunek?



— Z góry wiedziałam, że ten numer przyniesie mi



— Świnia! Na mnie to nasadził koło ratunkowe!



LUNAPARK



21 grudnia
Tomasza
KALENDARZYK TYGODNIA

Dzisiaj od godziny 0,1 do 24 Tomasz. Nadal dni są coraz krótsze. W „Odgłosach” trwa groźna dla Lunaparku i innych rubryk konkurencja „Mieszania” Jana Huszczy. (Szukaj „Mieszania”). Woda, atrament i wszelkie inne z wodą związane substancje nadal marzną w temperaturze 0 stopni pomimo satyrycznych protestów tego znakomitego literata po czterdziestce. (Patrz Jan Huszcza). Alertu nadal nie ogłasza się.

ubiera się ciemno, lubi kwaśne potrawy, jeśli natomiast urodził się w nocy z soboty na niedzielę, to znajdując się pod wpływem Jowisza, lubi stodoły, i odznacza się piękną powierzchownością.
Co przynosi szczęście ludziom urodzonym w trzeciej dekadzie wpływu Łucznika czyli Strzelca?
Z drogiej kamieni! CHRZOPRAZ, dający moc i energię. Z kwiatów CHRYZANTEMA — symbol twórczości, piękna i natchnienia. Z kolorów wszystkie odcienie barwy żółtej. Zaleca się nosić złote pończochy, rękawiczki, płaszcze, buty, kapelusze, parasole, fraki, smokingi, peruki, koszuły.



Kącik dla abstynentów

Dalszy ciąg listy zwolenników Bachusa na podstawie książki Jerzego Zaruby „Z pamiętników bywalca”.
„Henio Tomaszewski, profesor Akademii i kolega po seryze, wynalazłszy podczas śpiewania koled jakąś starą zbroję, ubrał się w nią i w hełmie, z halabardą w ręku stanął na progu i krzyknął: „Hände hoch!” Jego zawsze trzymająca się takie kawały. Dodajmy w naszym imieniu: — kawały niemądre i nietrzeźwe!

Konstanty Ildefons Gałczyński, jak donosi Zaruba, wypił w łazience wodę kołofńska stanowiąca własność donosiela, Janusz Minkiewicz, zaproszony przez generała Bulganina na bankiet, nie zostaje skreślony z listy osób mających się udać do

Moskwy na zaproszenie WOKS-u tylko dlatego, że spał w wiadomym stanie pod stołem. Znakomity karykaturzysta i pierwszy mąż Maji Berezowskiej, Kazimierz Gruss, budził się w samej bieliźnie i w wiadomym stanie w jednej z wind jednego z łódzkich domów... Zaprosiwszy na imieniny wiele osób, między innymi Pasternaków, Huszców, Zarubę, nie tylko zapomniał, kogo i na co zaprosił, ale odnaleziony we „Fraszkowej piwniczce” (dlaczego ta piwniczka została zamieniona przez ponurych i drewnianych urzędników na magazyn?) w stanie podchmielonym trzyma w dłoni jajko na twardo i zwraca się do kelnerki z pytaniem: — Co to? Odmawia pani człowiekowi zwisającemu jednym jajkiem nad grobem kieliszka... wódki?
Trepkowski, profesor Akademii i znakomity grafik... „Parodniowy pilnik zakończył się tym, że złapał go” (Trepkowski) „patrol gdyż nie znał” (Trepkowski) hasła. Na komendzie Trepkowski zademonstrował swój portfel i posłał po wódkę. Komendę zamknięto na klucz i libacja zaczęła się od nowa... Komendant zapalał gorącą sympatią do Tadzia” (Trepkowski) „i Tadzio zabawił w komendzie” (na wiadomych uciechach) „ze trzy dni”.

EROTYZM W FI



Stefania z pokoju

Rozegrany przez byłą dynatową Stefanią i kamerdynera Mikołaja bę huraganowy pojedynek zmysłów, pomimo li prób i pornograficznych gabywań (1244 listy, telefonów dziennie, trzy cyklowe paczki do pogmi) na skutek protestu i oddziałów sanitarnych nie został prowadzony do finału, samym podniecającą sex-sceną z mrówkami je opatrzoną tylko pi kiem i myślnikiem. W kie osoby noszące Mikołaj i Stefania, or zwisko Bomba, dopała się niedwuznacznych pod swoim adresem i ce redaktorowi rubryki kcjami karnymi i amni do dyrekcji RSW sa”, zawiadaliśmy, równo nazwiska boh rubryki jak i imiona należą do nikogo z ży

Odpowiedzi

Redak

Gosia Zarazwstańska niepeł, Żurawiana. Już od wielu osób maliśmy zapytania w wie cytryn. Te potu owoce podobno ukaz w prywatnej sprzedaży to należy się spodzie wkrótce beda sprzedaw w sklepach uspołeczni. Załączamy pozdrowien



„Nie jesteśmy bohaterami własnych przygód”.

Racjonalnie wykorzystaj godziny pracy biurowej!



Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowski 98. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 13,- zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwaca. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17, Konto PKO — Łódź 7 — 6-879 z zaznaczeniem na „Ogłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 3681-XII. 55. M-4

Horoskopy Lunaparku

Urodzony 21 grudnia nie poddaje się istniejącemu porządkowi rzeczy i zdarzeń. Jeśli urodził się w nocy z niedzieli na poniedziałek, to znajdując się pod niszczącym wpływem Saturna, jest naturą chłodną i zgrzybliwą,

Lunapark redaguje munt Fijas. Listy p kierować na adres sy”. Łódź, Piotrkow z adnotacją: „Dla parku”.